

**THIERRY JONQUET**  
**TARANTULA**

Przełożył Tadeusz Markowski

Prószyński i S-ka

**PAJAQ**

# 1

Richard Lafargue wolno kroczył żwirową alejką, która prowadziła do ukrytego w zaroślach stawu. Gęsta zieleń obrastała mur otaczający dom. Była typowa lipcowa noc rozświetlona mlecznym blaskiem gwiazd.

Na wodzie wśród nenufarów spała para łabędzi, chowając szyje w skrzydłach. Smukła łabędzica jak małe dziecko wtuliła się w masywnego samca.

Lafargue zerwał odurzająco pachnącą różę i przez chwilę ją wąchał, po czym ruszył dalej. Na końcu alei wysadzonej topolami wznosił się budynek. Była pora, kiedy w kuchni na parterze pokojówka Line powinna właśnie spożywać posiłek. Z prawej strony, skąd padało trochę światła, słychać było przytłumiony warkot silnika. To szofer Roger sprawdzał silnik mercedesa. Na wprost znajdował się salon, z którego okien zaciągniętych ciemnymi zasłonami przedostawało się bardzo niewiele światła.

Lafargue spojrział do góry, na pierwsze piętro i zatrzymał wzrok na oknach należących do apartamentów Ewy. Przez uchyloną okiennicę przedostawała się lekka strużka światła i słychać było nieśmiało dźwięki pianina, Lafargue rozpoznał pierwsze takty „The Man I Love”... Z trudem hamował irytację. Szybkim krokiem wszedł, trzasnął za sobą drzwiami, dobiegł do schodów i energicznie wspiął się na piętro. Wstrzymując oddech, podszedł do drzwi apartamentu Ewy. Miał ochotę walnąć w nie z całej siły pięścią, lecz opanował się i spokojnie zapukał.

Teraz kolejno otworzył trzy rygle, na które zamknięte było wejście do pokoi zajmowany przez osobę tak uparcie ignorującą jego pukanie.

Po cichu zamknął za sobą drzwi i ruszył w głąb buduaru. Pomieszczenie otaczał półmrok rozjaśniony jedynie łagodnym światłem lampy stojącej na pianinie. Na końcu była łazienka, jej jasne neonowe światło brutalnym blaskiem znaczyło granicę całego apartamentu.

Lafargue po omacku dotarł do wieży stereo i wyłączył głoś, przerywając pierwsze dźwięki melodii następującej po „The Man I Love”...

Usiłując zapanować nad stale wzbierającą w nim złością, tonem wprawdzie obojętnym i pozbawionym charakteru wymówki, jednakże dość cierpkim wygłosił uwagę na temat rozsądnego czasu, który należy poświęcić na makijaż, wybranie sukni oraz dobranie biżuterii odpowiedniej do rodzaju przyjęcia, na które byli wraz z Ewą zaproszeni. Przeklinając pod nosem, dotarł wreszcie do łazienki, gdzie w obfitym obłoku jasnoblękitnej piany skrywała się dziewczyna. Westchnął głęboko, a gdy ich oczy się spotkały, odniósł wrażenie, że jej spojrzenie rzuca mu wyzwanie. Zaśmiał się, pokręcił głową, udając rozbawienie jej dziecinnymi fochami, i wyszedł z apartamentu.

Wrócił na parter do salonu i z barku obok kominka nalał sobie scotcha. Wypił duszkiem, aż zapiekło go w żołądku i wywołało nerwowy skurcz twarzy. Następnie poszedł do interkomu połączonego z apartamentem Ewy. Zanim przyłożył usta do mikrofonu, odkaslnął i wrzasnął na całe gardło:

– Błagam, pośpiesz się, ty szmato!

Jego głos przez dwa trzystuwatowe głośniki umieszczone w ścianach buduaru zadudnił z taką mocą, że Ewa aż podskoczyła.

Drżąca wyszła z wielkiej okrągłej wanny i włożywszy gruby szlafrok, usiadła przed lustrem. Krótkimi pociągnięciami szczoteczki do rzęs rozpoczęła makijaż.

\*

Prowadzony przez Rogera mercedes wyjechał spod willi w Vésinet i ruszył w stronę Saint-Germain. Roger obserwował Ewę, która obojętnie siedziała obok i nieco nonszalancko trzymała papierosa umieszczonego w fífce z kości słoniowej. Głowę miała lekko odchylną do tyłu. Gdy co jakiś czas podnosiła rękę do ust, Roger mógł dostrzec jej twarz oświetloną jedynie czerwono-złotym, krótkim blaskiem papierosa. Miejskie światła wpadały niekiedy do samochodu, odbijając się nikłym blaskiem od czarnego jedwabiu jej obcisłej sukni.

\*

Długo nie zabawili na garden party wydanym przez jakiegoś biznesmena, który pragnął w ten sposób zasygnalizować okolicznym arystokratom swoją obecność. Snuli się wśród gości, Ewa trzymała Richarda pod rękę. Od strony ogrodu, gdzie grała orkiestra, dochodziła dyskretna muzyka. Przy stołach i bufetach ustawionych wzdłuż alejek stały grupki gości.

Nie udało się uniknąć towarzyskich „pijawek”, z którymi zmuszeni byli wypić parę kieliszków szampana za zdrowie gospodarza. Lafargue spotkał kilku kolegów – wśród nich jednego członka rady nadzorczej – i przyjął też kilka pochwał za swój ostatni artykuł w „La Revue du praticien”. W trakcie rozmów obiecał nawet, że podczas najbliższego wywiadu w telewizji poprze konferencję na temat chirurgii plastycznej piersi. Później pluł sobie w brodę, że dał się wciągnąć w pułapkę, bo przecież mógł grzecznie odmówić.

Ewa trzymała się trochę na uboczu i sprawiała wrażenie rozmarzonej. Zawistna mina niejednej żony napawała ją pychą i delektując się sytuacją, odpowiadała uprzejmym spojrzeniem, w którym jednak czaił się wyraz ledwie dostrzegalnej pogardy.

Na krótką chwilę opuściła Richarda, żeby poprosić orkiestrę o zagranie „The Man I Love”, i gdy tylko zabrzmiały pierwsze takty tej łagodnej tęsknej melodii, pojawiła się z powrotem u jego boku. Z drwiącym uśmiechem obserwowała, jak jego twarz nagle przybiera wyraz bolesnego cierpienia. Ujął ją delikatnie za ramię i

odciągnął na bok. Saksofonista snuł swoją płacziwą solową partię, a Richard siłą woli hamował się, żeby dziewczyny nie spoliczkować.

Okolo północy pożegnali gospodarza i wrócili do domu w Vésinet. Richard odprowadził Ewę do jej apartamentów i usiadłszy na kanapie, obserwował, jak powolnymi, prawie leniwymi ruchami zdejmuje z siebie ubranie, nie odrywając od niego ironicznego spojrzenia.

Stała przed nim wyzywająco, w rozkroku, dłonie oparła na biodrach. Jej włosy łonowe były na wysokości jego twarzy. Richard wzruszył ramionami i wstał, by poszukać perłowego pudełeczka na półce biblioteki. Tymczasem Ewa ułożyła się na macie na posadzce. Richard usiadł po turecku obok niej, otworzył i wyjął z pudełka długą fajkę oraz zapakowane w sreberko małe szare kuleczki.

Delikatnymi ruchami nabił fajkę tytoniem, przypalił od rozżarzonej szczapy z kominka i podał Ewie. Natychmiast zaciągnęła się głęboko dymem. Po pokoju rozniósł się mdły zapach. Ewa leżała na boku z podwiniętymi nogami i paląc fajkę, wpatrywała się w Richarda. Szybko jej wzrok stał się szklisty. Richard przygotował następną porcję.

Minęła godzina, gdy opuścił jej apartament, zamykając za sobą drzwi znowu na wszystkie trzy zamki. Dotarł do swojego pokoju, zdjął ubranie i długo w lustrze przyglądał się swojej szarej twarzy. Lekko uśmiechnął się do siebie, do swoich siwych włosów oraz do zmarszczek coraz mocniej rzeźbiących jego zmęczoną twarz. Wyciągnął przed siebie ręce, zamknął oczy i dłońmi wykonał ruch, jakby darł coś na strzępy. Wreszcie położył się na łóżku i leżał tak wiele godzin, zanim nad ranem udało mu się wreszcie zasnąć.

## 2

Pokojówka Line miała tej niedzieli wolne, w takich razach śniadanie przygotowywał Roger. Długo stukał do drzwi sypialni Lafargue'a, zanim usłyszał odpowiedź.

Richard z apetytem zjadł chrupiące bułeczki. Był w dobrym humorze, prawie radosnym. Po śniadaniu włożył dżinsy, koszulę, mokasyny i wyszedł pospacerować po ogrodzie.

Łabędzie przemierzały to wzdłuż, to wszerz niewielki staw. Kiedy Lafargue znalazł się przy kępie lilii, podплыnęły do brzegu. Rzucił im parę kawałków bułki na wodę, potem przykucnął, by ptaki mogły karmić się wprost z jego ręki.

Znów poszedł spacerem do siebie. Kępy kwiatów ubarwiały żywymi plamami świeżo skoszoną trawę. Skierował się na sam koniec ogrodu, gdzie na długości dwudziestu metrów wciśnięty był basen. Ulicę, a także sąsiednie posesje oddzielał wysoki mur.

Richard wypalił tu papierosa, potem wrócił do domu. W kuchni zastał tacę z przygotowanym przez Rogera śniadaniem dla Ewy. W salonie włączył interkom i wrzasnął na cały głos:

– Śniadanie! Wstawaj!

Wszedł na piętro, otworzył drzwi i wszedł do apartamentu. Ewa jeszcze spała. W wielkim łóżu z baldachimem jej twarz ledwie widoczna była spod kołdry, a gęste kręcone włosy tworzyły ciemną plamę na satynowej pościeli w kolorze malwy.

Lafargue usiadł na brzegu łóżka i postawił tacę na kołdrze. Zaspana Ewa ledwo umoczyła usta w szklance z sokiem pomarańczowym i ugryzła bułkę z miodem.

– Dzisiaj jest dwudziesty siódmy – powiedział Richard – to ostatnia niedziela miesiąca. Czyżbyś zapomniała?

Ewa potrząsnęła przecząco głową. Patrzyła obojętnie gdzieś w bok.

– Wyruszamy za czterdzieści pięć minut – stwierdził Richard.

Wszedł. W salonie znowu wrzasnął interkom:

– Powiedziałem czterdzieści pięć minut! Zrozumiałaś?

Ten donośny głos spowodował, że Ewa zesztywniała.

Mercedes jechał trzy godziny autostradą, zanim skręcił na lokalną drogę. Mijali popadające w ruinę normandzkie wsie. Z podróźnej lodówki Richard napił się gazowanej wody, nalał też Ewie; odmówiła, wołała drzemać, więc zamknął lodówkę.

Jechał szybko, ale prowadził z duża wprawą. Zaparkował samochód przed wjazdem do zamku położonego w lesie. Parkan ogradzał rozległą posiadłość, ale niektóre budynki bardzo blisko sąsiadowały z zabudowaniami okolicznego miasteczka. Ludzie spacerowali grupkami, inni rozkoszowali się słońcem, siedząc na dziedzińcu. Kobiety w białych bluzkach krążyły wśród gości z tacami pełnymi różnokolorowych plastikowych kieliszeczków.

Richard i Ewa weszli po schodach prowadzących przez duże drzwi prosto do recepcji, którą obsługiwała potężna pielęgniarka. Na ich widok uśmiechnęła się, podała rękę Ewie i przywołała pielęgniarza. Zawiózł ich windą na trzecie piętro, tam wysiedli i weszli do długiego, wysokiego korytarza, wzdłuż którego znajdowało się szereg masywnych drzwi wyposażonych w wizjery. Pielęgniarz bez słowa otworzył siódme z kolei drzwi po lewej stronie, poczekał, aż oboje wejdą do środka, i oddalił się z powrotem do windy.

\*

Na łóżku siedziała kobieta. Bardzo młoda, lecz mocno przygarbiona, z ostro zarysowanymi zmarszczkami na twarzy. Górna warga drżała jej nerwowo, włosy dawno niemyte miała w okropnym nieładzie, wytrzeszczonymi oczyma wodziła na wszystkie strony. Całą jej skórę pokrywały czarne strupy. Kołysała się monotonnie do przodu i do tyłu jak wahadło. Ubrana była w niebieską szpitalną koszulę. Na stopach miała kapcie z pomponami.

Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zauważyła gości. Richard usiadł na łóżku, wziął dziewczynę za podbródek i obrócił jej twarz ku sobie. Nie opierała się. Z wyrazu przedwcześnie postarzałej twarzy nie można było odczytać żadnych uczuć.

Richard otoczył dziewczynę ramieniem i przytulił. Przestała się kołysać. Ewa stała przy łóżku, lecz wzrok miała wbity w okno, za którym roztaczał się piękny krajobraz.

– Viviane – szepnął Richard – Viviane, moje słoneczko...

Nagle zerwał się i mocno chwyciwszy Ewę za ramię, zmusił, by spojrzała na Viviane, która wciąż z tępym wyrazem twarzy powróciła do monotonnego kiwania się.

– Daj jej to – powiedział cicho.

Ewa otworzyła torebkę, wyjęła pudełko nadziewanych czekoladek i podała dziewczynie.

Viviane złapała nieporadnie pudełko, zerwała pokrywkę i łapczywie zaczęła zjadać czekoladki jedna po drugiej. Richard przyglądał się temu z lekkim osłupieniem.

– No dobrze. Wystarczy. – Ewa westchnęła i lekko popchnęła Richarda do wyjścia. Pielęgniarz czekał na korytarzu i zamknął za nimi drzwi.

Na dole chwilę porozmawiali z recepcjonistką. Ewa dała znak szoferowi, że będą wracać. Czekał na nich stał przy samochodzie, czytał „L'Equipe”. Richard i Ewa usiedli na tylnych siedzeniach i mercedes ruszył drogą prowadzącą na autostradę, która zawiodła ich w rejon Paryża, a na koniec do willi w Vésinet.

\*

Richard zamknął Ewę w apartamencie na górze i na resztę dnia odprawił służbę. Jakiś czas przesiedział w salonie, przegryzając zimne przekąski przygotowane przez Line. Dopiero koło siedemnastej wsiadł do samochodu i pojechał do Paryża. Zaparkowawszy niedaleko palcu Concorde, wszedł do kamienicy przy ulicy Godot-de-Mauroy. Szybkim krokiem pokonał schody i na trzecim piętrze otworzył kluczem drzwi eleganckiej kawalerki, w której głównym meblem było wielkie, okrągłe łóżko pokryte jedwabną pościelą w kolorze ciemnego różu. Ściany zdobiło kilka erotycznych rycin.

Na stoliku przy łóżku stał telefon. Richard włączył automatyczną sekretarkę i odsłuchiwał nagrania. W ciągu ostatnich dwóch dni dzwoniono trzy razy. Słysząc było chrapliwe głosy dyszących mężczyzn, którzy zostawili wiadomości dla Ewy. Zanotował godziny proponowanych spotkań. Wszedł, wsiadł do samochodu. Po powrocie do Vésinet podszedł do interkomu i przymilnym głosem zawołał:

– Ewo! Będzie trzech dziś wieczorem! Słyszysz mnie?

Potem wszedł na piętro.

Ewa w buduarze malowała akwarelę. Obraz przedstawiał leśną polanę zalaną słońcem. Na środku naszkicowana była węglem twarz Viviane. Richard na ten widok roześmiał się głośno, podszedł do toaletki, wziął flakonik czerwonego lakieru do paznokci i całą zawartość wylał na obraz.

– Ty nigdy się nie zmienisz? – zapytał.

Ewa wstała i zaczęła układać pędzle, farby, odstawiła sztalugi. Richard przyciągnął ją, zbliżył jej twarz do swojej i powiedział cicho:

– Dziękuję za twoją uległość, która każe ci nagiąć się do moich życzeń.

Pobladła ze wściekłości.

– Puść mnie, alfonsie! – warknęła wrogo przez zaciśnięte zęby.

– Ooo! Bardzo zabawne. Naprawdę do twarzy ci z taką zbuntowaną miną.

Siłą uwolniła się z jego objęć, poprawiła włosy i wygładziła ubranie.

– Dobrze – powiedziała. – Dziś wieczorem? Naprawdę tego chcesz? Kiedy ruszamy?

– Natychmiast.

Przez całą drogę jechali w milczeniu. Bez słowa też weszli do kawalerki.

– Przygotuj się – rzekł Lafargue. – Niebawem zaczną przychodzić.

Otworzyła szafę, rozebrała się i powiesiła w niej swoje ubranie. Włożyła czarne skórzane buty, skózaną spódnicę i koronkowe pończochy. Twarz upudrowała na biało, usta pociągnęła jaskrawą szminką i usiadła na łóżku.



Richard przeszedł do sąsiedniego mieszkania, gdzie na ścianie umieszczone było weneckie lustro, przez które można było obserwować, co się dzieje w mieszkaniu Ewy.

Pierwszy klient, handlowiec dobrze po sześćdziesiątce, miał twarz czerwoną jak u apoplektyka. Spóźnił się pół godziny. Następny przyszedł około dwudziestej pierwszej. Był to prowincjonalny aptekarz, który odwiedzał Ewę regularnie i zadowalało go patrzeć na Ewę przechadzającą się nago po pokoju. Trzeciemu Ewa kazała trochę poczekać, kiedy zdyszany niecierpliwie naciskał dzwonek. Był to zakompleksiony homoseksualista z dobrej rodziny. Gestykulował i przeklinał gwałtownie, chodząc po pokoju, jednocześnie się onanizując. Ewa chodziła razem z nim i ręką pomagała mu osiągnąć rozkosz.

Richard siedział w bujanym fotelu. Oglądał ten spektakl, śmiejąc się z cicha. Widoczną radość sprawiało mu, gdy na twarzy Ewy pojawiał się grymas obrzydzenia.

Kiedy było już po wszystkim, wrócił do jej mieszkania. Ewa zdjęła swój skórzany strój i włożyła zwyczajną sukienkę.

– Wspaniale. Jesteś jak zawsze doskonała... cudowna i cierpliwa! Chodźmy – powiedział, podał jej ramię. Na kolację poszli do węgierskiej restauracji. Tam cygańskiej orkiestrze przygrywającej tuż przy ich stoliku Richard hojnie rozdawał pieniądze, które wziął z toaletki stojącej obok łóżka w kawalerce. Kładli je tam klienci Ewy jako zapłatę za jej usługi.

\*

*...Przypomnij sobie parny letni wieczór. Upał był potworny, nie do zniesienia. Zanosilo się na burzę. Wziąłeś motocykl, żeby uciec w mrok. Sądziłeś, że powiew nocnego powietrza dobrze ci robi. Jechałeś szybko. Wiatr rozchyłał twoją koszulę i targał jej kołnierzem. Komary rozbijały się o okulary, ale nie czuleś już tej uciążliwej temperatury.*

*Minęło sporo czasu, zanim spostrzegłeś dwa reflektory poruszające się w ślad za tobą, jak para wielkich białych oczu wymierzonych prosto w ciebie. Dodałeś gazu, ale śledzące cię auto było szybkie. Bez trudu utrzymywało bliski dystans za tobą.*

*Wjechałeś zygakiem w las. Początkowo byłeś tylko zaniepokojony, ale potem ogarnęła cię prawdziwa panika z powodu tych uporczywych oczu podążających za tobą. W lusterku widziałeś, że jadący w samochodzie kierowca jest sam. I wcale nie miał zamiaru podjeżdżać bliżej.*

*Nadciągnęła burza. Najpierw zaczął padać drobny deszcz, ale niebawem zmienił się w ulewę. Po każdym zakręcie patrzyłeś w lusterko i widziałeś, jak uporczywie pojawiał się za tobą ten samochód. Byłeś przemoknięty. Zadrżałeś, kiedy światelko wskaźnika zaczęło migotać, ostrzegając, że benzyny starczy ci jeszcze zaledwie na kilka kilometrów. Długo już kluczyłeś po lesie, zupełnie straciłeś orientację i zgubiłeś drogę. Nie miałeś pojęcia, w którym kierunku może być najbliższe miasto.*

*Droga stała się śliska, więc zwolniłeś. Samochód nagle podjechał bliżej, starał się zepchnąć cię na pobocze.*

*Zahamowałeś tak ostro, że motocykl nieomal stanął dęba. Zawracając, usłyszałeś na drodze pisk hamulców samochodu, który jak ty zawrócił i dalej cię śledził. Zrobiło się ciemno, a strugi deszczu nie pozwalały dobrze wiedzieć drogi.*

*Nagle poderwałeś przednie koło, chcąc przeskoczyć pobocze i wjechać w zarośla, lecz tylne koło ugrzęzło w głębokim błocie i motor się przewrócił. Silnik zgasł. Choć nie było to proste, udało ci się postawić motocykl pionowo.*

*Znów siedziałeś na siodełku i naciskałeś pedał, ale nie było już paliwa. Wtem silne światło latarki padło na pobocze. Strumień światła pochwycił cię, kiedy przebiegałeś przez zarośla, chcąc schować się za pniem drzewa. Sięgnąłeś do cholewki prawego buta po bagnet. Ten używany przez żołnierzy wermachtu nóż zawsze miałeś przy sobie...*

*Samochód również zatrzymał się na drodze i poczułeś skurcz żołądka na widok potężnej sylwetki człowieka podnoszącego dubeltówkę do strzału. Celował w ciebie. Huk wystrzału broni zlał się z odgłosem pioruna. Na dachu samochodu leżała latarka, ale była wyłączona.*

*Biegłeś do utraty tchu. Przedzierając się przez gąszcza, poraniłeś sobie rękę. Od czasu do czasu światło latarki śledziło twoją ucieczkę. Już nic nie słyszałeś, serce biło ci jak szalone, a ciężkie kawały błota przylegające do butów coraz bardziej utrudniały poruszanie się. W zaciśniętej dłoni trzymałeś bagnet.*

*Ile czasu trwała ta gonitwa? Skacząc przez powalony pień, rzuciłeś się w ciemność. W końcu zawadziłeś stopą o wystający korzeń i runąłeś jak długi.*

*Leżąc w rozmokłej ziemi, usłyszałeś okrzyk. Ktoś skoczył na twoją dłoń, przydeptał ją obcasem, wytrącając bagnet. A on całym sobą zwałił się na ciebie. Jedną rękę zacisnął ci na szyi, drugą szukał twoich ust. Kolana wbił w twoje plecy. Próbowałeś go ugryźć, ale twoje zęby zacisnęły się jedynie na grudzie błota.*

*Trzymał cię w żelaznym uścisku i tak trwaliście w ciemnościach... Deszcz przestał padać.*

### 3

Alex Barny leżał na żelaznym łóżku na mansardzie i nie nie robił. Po prostu czekał. Zza okna słychać było wnerwiające ćwierkanie cykad. Powykręcane pnie drzew oliwnych w nocy sprawiały wrażenie postaci zastygłych w absurdalnych pozach. Alex rękawem koszuli przetarł spocone czoło.

Nieosłonięta żarówka zawieszona na samym kablu przyciągała chmury komarów, które doprowadzały go do wściekłości. Prysnał w ich kierunku aerozolem insektobójczym i na betonowej podłodze pojawiła się kolejna ciemna plama ukatrupionych owadów, gdzieniegdzie ubarwiona czerwonymi plamkami krwi.

Z trudem podniósł się z łóżka i podpierając laską, pokuśtykał do kuchni. Jego kryjówka leżała z dala od wsi rozciągających się między Cagnes i Grasse. Lodówkę miał pełną. Wyjął butelkę piwa, zdjął kapsel i wypił całą.

Głośno beknął, otworzył następne piwo i wyszedł na dwór. Była pełnia. W oddali błyszczało morze, światło księżyca zalewało dolinę porośniętą gajami oliwnymi.

Ostrożnie zrobił kilka kroków. Udo krótkim urywanym bólem nadal dawało o sobie znać. Opatrunek przykleił się do rany, która od dwóch dni już nie ropiała, ale też nie chciała się goić. Kula przebiła mięśnie, szczęśliwie omijając kość i arterię udową.

Alex oparł się ręką o pień drzewa oliwnego i oddał mocz, opryskując rząd mrówek zajętych przenoszenie grupki gałązek.

Pociągnął piwa z butelki, potrzymał je w ustach, rozkoszując się smakiem, i wypluł. Zasiadł wygodnie w ławce na werandzie i pogwizdując cicho, wyjął z kieszeni paczkę gauloisów. Miał na sobie brudną koszulkę, teraz jeszcze pochłapaną piwem. Dotknął fałdy na brzuchu i spostrzegł, że przez te trzy tygodnie, podczas przymusowego lenistwa zaczął obrastać tłuszczem. Nic dziwnego, zajmował się wyłącznie odpoczywaniem oraz jedzeniem, więc przytył.

Po jego butem leżała gazeta sprzed piętnastu dni. Obcasem akurat zakrył zdjęcie na pierwszej stronie. To była jego twarz. Całą kolumnę zapisano tłustym drukiem, a w nim większymi literami wybijało się imię i nazwisko: Alex Barny.

Mniejsze zdjęcie przedstawiało mężczyznę otaczającego ramieniem kobietę, która trzyma dziecko na rękach. Alex odchrząknął i splunął na gazetę. Ślina zmieszana z kawałkami tytoniu rozlała się po twarzy dziecka. Splunął ponownie i tym razem trafił tam, gdzie chciał – w twarz gliniarza uśmiechającego się do swojej rodzinki. Teraz już martwego...

Resztę piwa wylał na gazetę. Obserwował, jak strużki płynu plamą powoli całą stronę. Wreszcie szurając nogą, podarł gazetę na strzępy.

Nagle ogarnął go dziwny nastrój. Szloch ugrzązł mu w gardle i ucichł, pozostawiając uczucie smutku i zagubienia. Do oczu cisnęły się łzy, ale nie popłynęły. Zaczął poprawiać sobie bandażę, porządniej owijając je wokół rany i dokładnie wyrównane zapiął na agrafkę.

Z łokciami opartymi na kolanach wpatrywał się w noc. Kiedy dotarł do tej chaty, przez pierwsze dni nie umiał poradzić sobie z samotnością. Infekcja rany wywołała lekką gorączkę. W uszach miał szum spotęgowany ćwierkaniem cykad, co sprawiło, że odczuwał niepokój. Wpatrywał się w wiejskie pola i niekiedy miał wrażenie, że pień jakiegoś drzewa się porusza. Odgłosy nocy napawały go lękiem. Zawsze miał w pogotowiu rewolwer, a kiedy leżał, kładł go sobie na brzuchu. Bał się, że traci rozum.

Torba z pieniędzmi leżała przy łóżku. Często zanurzał rękę w banknotach, dotykając ich sprawiało mu ogromną radość.

Czasami nachodziły go stany euforii. Wtedy zadowolony śmiał się na głos i przekonywał sam siebie, że mimo wszystko nic złego nie może mu się przytrafić. Nie znajdą go, tu jest bezpieczny. W promieniu kilometra nie było żadnego porządnego domostwa.

W pobliżu jedynie jacyś niemieccy lub holenderscy turyści spędzali wakacje w kupionej tanio, walącej się chacie. Były też komuny hipisów hodujących stada kóz albo garncarze. Ale właściwie nie musiał się ich obawiać. W dzień obserwował przez lornetkę drogę i okolice. Turyści urządzali długie piesze wycieczki, zbierali kwiaty. Ich dzieci, dwie małe dziewczynki i trochę starszy chłopiec, miały wyjątkowo jasne włosy. Matka opalała się nago na płaskim dachu. Alex podglądał ją, masując krocze i pojękując.

Usmażył jajka. Jadł prosto z patelni, resztki wybrał kromką chleba. Potem pograł w strzałki, ale ciągłe chodzenie po nie szybko go zmęczyło. Na początku miał tu również flippera, lecz tydzień temu automat się zepsuł.

Może coś jest w telewizji? Wahał się między westernem z kanału FR3 a jakimś programem rozrywkowym na jedyńce. Western był o bandycie, który został sędzią po uprzednim sterroryzowaniu całego miasteczka. Istny wariat. Chodził na spacer z niedźwiedziem, a głowę miał przekrzywioną na jedną stronę, bo cudem przeżył powieszenie... Alex wyłączył dźwięk.

Widział kiedyś prawdziwego sędziego – w czerwonej todze i kołnierzu z białego futra. To było w Paryżu w Pałacu Sprawiedliwości. Zaciągnął go tam Vincent, który chciał obejrzeć jakąś sprawę. Vincent był trochę szurnięty, lecz Alex nie miał innego kumpla.

A teraz Alex wpadł po uszy.

Vincent wiedziałby, co trzeba zrobić, pomyślał.

Jak wydostać się z tej dziury i nie dać złapać gliniarzom? Jak się pozbyć trefnej forsy? Był pewny, że bank ma spisane numery banknotów. Jak wreszcie przedostać się za granicę i poczekać, aż wszyscy o nim zapomną? Vincent mówił po angielsku i po hiszpańsku. A poza tym nie wpadłby tak głupio w pułapkę. Przewidziałby pojawienie się gliniarzy, kamery ukryte w suficie, które sfilmowały wyczyny Alexa. I to jakie! Wpadł z wrzaskiem do banku, groził kasjerowi rewolwerem...

Vincent pomyślałby o przypatrzeniu się klientom, zresztą w większości stałym klientom, a zwłaszcza zauważyłby gliniarza, który akurat miał tego dnia wolne i przyszedł o dziesiątej podjąć pieniądze na zakupy w znajdującym się niedaleko Carrefourze. Vincent włożyłby kominiarke, strzelił do kamery... Alex wprawdzie miał kominiarke, ale ten gliniarz od razu ściągnął mu ją z głowy. Vincent nie czekałby z zastrzeleniem tego faceta, któremu zachciało się udawać bohatera i umrzeć...

Tylko że wtedy tam był Alex. Alex sparaliżowany strachem. Uległ strachowi jedynie na moment, lecz jakże potrzebny na podjęcie szybkiej decyzji: strzelać bez namysłu. No i dał się zaskoczyć. Dostał w udo i musiał wykuśtykać z banku, mocno krwawiąc, taszcząc ze sobą torbę pełną pieniędzy. Vincent zdecydowanie lepiej dałby sobie z tym wszystkim radę.

Ale Vincenta już nie było. Nikt nie wie, co się z nim stało. Może już nie żyje?

Chociaż Alex wiele się nauczył. Po zniknięciu Vincenta nawiązał nowe znajomości, załatwił sobie fałszywe papiery i kryjówkę na tej wsi zabitej deskami. Vincent zniknął prawie cztery lata temu. I Alex zmienił się przez ten czas. Farma ojca, traktor, krowy – wszystko to było już daleko za nim. Został wykidajką w nocnym klubie w Meaux. Jego wielkie łapska zbierały nierzadko krwawe żniwo wśród sobotniej klienteli – podchmielonej i awanturniczej. Miał ładne ubrania, wielki sygnet, samochód. Był jak jakieś panisko.

I kiedy tak obrabiał innych na cudzy rachunek, zaświtała mu idea, że obrabianie na własny rachunek nie byłoby głupie. A obrabiał innych i obrabiał. Późnym wieczorem w Paryżu, w dobrych dzielnicach, przy wejściach do klubów lub restauracji... Prawdziwe żniwa – portfele mniej lub bardziej wypchane pieniędzmi. I kartami kredytowymi tak potrzebnymi do opłacenia garderoby, której miał coraz więcej.

I nagle miał dość tego obrabiania. Wyniki były śmieszne i niewspółmierne do włożonego wysiłku. Bank to co innego. Za jednym zamachem mógłby zdobyć tyle, żeby już do końca życia nie musiał nikogo obrabiać.

Siedział bezmyślnie w fotelu i wpatrywał się w pusty już ekran telewizora. Tuż koło jego ręki przebiegł szczur. Alex szybkim ruchem go złapał. Poczował, jak malutkie serca tłucze się jak szalone. Przypomniawszy sobie pola uprawne, ptaki ukryte wśród traw i koła traktora rozgniatające szczury.

Podniósł szczura do twarzy i zaczął powoli ścisnąć. Wbił paznokcie w aksamitne futerko. Pisk stawał się coraz głośniejszy. I wtedy Alex przypomniał sobie stronę z gazety, wytłuszczone litery, własne zdjęcie i dziennikarski bełkot.

Wstał, wyszedł na ganek i cisnął gryzonia z całej siły w ciemność nocy.

\*

*... Smak śmierdzącej ziemi w ustach, oślizgłe błoto, uczucie ciepła i miękkości i ten zapach mchu i butwiejących drzew. I wreszcie uścisk jego dłoni na twojej szyi i*

ustach. Zaciśnięte dłonie, które cię uwięziły, kolana wbite w plecy, które cię wciskały w ziemię, żebyś zniknął na zawsze.

Cieężko dyszał, starając się złapać oddech. Ty nie ruszałeś się, po prostu czekałeś. Bagnet leżał w poszyciu gdzieś po prawej stronie. Wiedziałeś, że wreszcie będzie musiał zwolnić uścisk. Wtedy mógłbyś się błyskawicznie odwrócić, zwalić go z siebie, złapać bagnet i zabić. Zabić sukinsyna!

Kto to był? Jakiś wariat? Sadysta włóczący się po lasach? Już tyle czasu leżeliście obydwoj w błocie, w sprawiającym ci ból uścisku, wsłuchując się we własne oddechy. Czy chciał cię zabić? A może najpierw zgwałcić?

Las był zupełnie cichy, jakby zamarło w nim życie. On się nie odzywał, ale oddech stał się jakby spokojniejszy. Czekając na jakiś ruch z jego strony. Czyżby jego dłoń powędrowała w stronę twojego brzucha? Coś w tym rodzaju... Powoli udało ci się opanować przerażenie. Teraz już byłeś w stanie walczyć. Mogłeś wepchnąć mu palce w oczy, gryźć, wierzgać. Ale nic się nie stało. Wciąż leżałeś pod nim i czekałeś.

Wtedy on zaczął się śmiać. Radośnie, szczerze, dziecinnie. Jak przedszkolak na widok oczekiwanego prezentu pod choinką. Ale jego śmiech nagle zamarł i usłyszałeś spokojny, prawie obojętny głos:

– Nie bój się, mały. Nie ruszaj się. Nie zrobię ci nic złego...

Lewą ręką puścił twoją szyję, chciał zaświecić latarką. Bagnet leżał w trawie zaledwie dwadzieścia centymetrów dalej. Ale tamten wcisnął ci rękę w ziemię i odrzucił bagnet daleko w las. To była twoja ostatnia szansa...

Położył latarkę na ziemi, złapał cię za włosy i obrócił twarz do światła. Blask cię oślepił.

– Tak... to ty!

Jego jedno kolano zbyt mocno zaczęło uwierać cię w plecy. Krzyknąłeś, ale on przytknął ci do twarzy jakąś śmierdzącą szmatę. Walczyłeś, żeby nie stracić przytomności, lecz zanim poluzował uścisk, zaczęłeś odpywać. Wielki, tętniący czarny wir zbliżał się do ciebie z ogromną szybkością.

Długo powracałeś do rzeczywistości. Pamięć cię zawodziła. Czyżbyś miał koszmarne sen?

Nie. Wszędzie panowała ciemność, jakby wciąż jeszcze była noc, ale tym razem na pewno już nie śniłeś. Zaczęłeś przeciągle wyć. Próbowaleś się poruszyć, wstać.

Nadgarstki i kostki u nóg miałeś skute łańcuchami pozostawiającymi niewielką możliwość ruchu. Po ciemku dotykałeś posadzki, na której leżałeś. Była twarda i pokryta czymś w rodzaju ceraty. Z tyłu wyczułeś omszałą ścianę, do której były solidnie przytwierdzone krepujące cię łańcuchy. Próbowaleś je wyszarpywać, zapierając się nogami, ale mogły wytrzymać o wiele większe obciążenie.

Dopiero wtedy zdałeś sobie sprawę ze swojej nagości. Byłeś zupełnie nagi i przykuty łańcuchami od ściany. Zaczęłeś nerwowo szukać ran na swoim ciele, ran, których nie czuleś. Ale twoje ciało miało wszędzie gładką skórę bez żadnych obrażeń.

W tej ciemnej celi było ciepło. Byłeś nagi, a nie marzłeś. Wołałeś, krzyczałeś, wyleś... potem płakałeś, waliłeś pięściami w mur, szarpałeś łańcuchami, wrzeszczałeś w bezsilnej wściekłości.

*Miałeś wrażenie, że płaczesz tak przez długie godziny. Wreszcie usiadłeś na ceracie. Pomyślałeś, że wstrzyknięto ci jakiś narkotyk, a wszystko dookoła jest wynikiem halucynacji albo delirium... A może zginąłeś tamtej nocy na motorze? Właśnie. Musiałeś zginąć. A teraz jesteś skuty łańcuchami i niczego nie rozumiesz...*

*Jednak żyłeś. Znowu zacząłeś krzyczeć. Pamiętałeś tego sadystę, który dopadł cię w lesie. Ale przecież nie zrobił ci żadnej krzywdy. Żadnej.*

*Zwariowałem! – pomyślałeś. Twój głos stawał się coraz cichszy, coraz bardziej łkający, coraz bardziej chrapliwy.*

*Chciało ci się pić.*

*Zasnąłeś. Ocknąłeś się, bo pragnienie zaczęło cię doprowadzać do szału. Nie dawało ci zasnąć. Ścisnęło gardło uparcie i perwersyjnie. Czuleś drapiący kurz grubą warstwą zaklejający ci gardło. Grube ziarna zgrzytały między zębami. Zrozumiałeś, co to znaczy prawdziwe pragnienie.*

*Staraleś się myśleć o czym innym. Zacząłeś bezgłośnie recytować wiersze. Od czasu do czasu unosiłeś się i wołałeś pomocy, wałąc w ścianę.*

*– Pić! – wyleś.*

*– Pić! – szeptałeś.*

*W końcu mogłeś myśleć tylko o picciu. Łkając, zebrałeś i błagałeś, żeby ci dano pić. Żałowałeś, że wcześniej oddałeś mocz. Odszedłeś w bok tak daleko, jak na to pozwalały łańcuchy, żeby się wysikać jak najdalej od postania.*

*Zdechnę z pragnienia, pomyślałeś. Trzeba było wypić mocz.*

*Znowu zasnąłeś. Na godzinę czy na chwilę? Nie mogłeś wiedzieć.*

*Minęło dużo czasu. Wreszcie zrozumiałeś! To była pomyłka. Wzięto cię za kogoś innego. Przecież to nie ciebie chciano tak torturować. Zebrałeś resztkę sił.*

*– Proszę pana! Błagam! Proszę tu przyjść. Pan się pomylił. Nazywam się Vincent Moreau! Pan się pomylił! Vincent Moreau! Vincent Moreau!*

*Wtedy przypomniałeś sobie latarkę w lesie. Żółty snop światła z latarki na twojej twarzy i ten stanowczy głos:*

*– To ty!*

*A więc chodziło o ciebie.*

**JAD**



# 1

W poniedziałek Richard Lafargue wstał wczesnym rankiem. Miał przed sobą ciężki dzień. Najpierw popływał trochę w basenie, potem zjadł śniadanie w ogrodzie. Rozkoszował się porannym słońcem, pobieżnie przeglądając tytuły gazet z porannej prasy.

Roger czekał już na niego za kierownicą mercedesa. Richard przed wyjazdem poszedł przywitać się z Ewą. Jeszcze spała. Musnął ją delikatnie po policzku. Poderwała się nagle, rozbudzona i zaskoczona. Przy tym ruchu zsunęła kołdrę, odsłaniając wspaniałą kształt piersi. Richard palcem przesunął po jej sutkach, doprowadzając do ich nabrzmienia.

Nie mogła powstrzymać śmiechu. Ujęła jego dłoń i położyła na brzuchu. Richard drgnął lekko, wstał i wyszedł z pokoju. Na progu odwrócił się i roześmiał.

– Idioto! – syknęła. – Przecież zdychasz z pożądania!

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Pół godziny później był w szpitalu w centrum Paryża. Kierował kliniką chirurgii plastycznej o międzynarodowej renomie. Spędzał tu tylko godziny poranne, popołudnia zarezerwowane miał na pracę w swojej klinice w Boulogne.

Zamknął się w gabinecie, analizując operacje przewidziane na ten dzień. Asystenci czekali zniecierpliwieni. Kiedy uznał, że przemyślał już wszystkie przypadki, przebrał się w sterylne ubranie chirurgiczne i poszedł na blok operacyjny.

\*

Sala otoczona była amfiteatrem dla obserwatorów, oddzieloną szybą od części operacyjnej. Przez umieszczone wokół głośniki lekarze i studenci mogli usłyszeć wykład Lafargue'a. Aparatura lekko zniekształcała jego głos.

– Na czole i na policzkach widzimy rozległe warstwy keloidu powstałe w wyniku oparzeń chemicznych, konstrukcja nosa praktycznie nie istnieje, powieki są uszkodzone. Widzą więc państwo typowy przykład, gdzie wskazane jest zastosowanie płatów cylindrycznych... Wykorzystamy do tego celu rękę oraz brzuch...

Lafargue zaczął sprawnie wycinać lancetem duże kwadratowe płaty skóry z brzucha pacjenta. Wszyscy obserwujący operację śledzili uważnie jego pracę. Po godzinie widać było pierwsze rezultaty jego działania. Płaty skóry z ręki i brzucha pacjenta przeniesione zostały na popaloną twarz, a wszystko przyszyte było podwójnym ścięgiem.

Pielegniarki zabrały pacjenta z bloku operacyjnego, a Lafargue zdjął maskę chirurgiczną i został jeszcze by kontynuować wyjaśnienia.

– W tym wypadku plan operacji był uwarunkowany koniecznością. Jest oczywiste, że tego typu operacje trzeba będzie wiele razy powtórzyć, zanim otrzymamy zadowalający rezultat.

Podziękował zebrany za uwagę i wyszedł z bloku operacyjnego. Minęło południe, więc skierował się do pobliskiej restauracji. Po drodze była perfumeria. Kupił Ewie flakonik perfum, które miał zamiar ofiarować jej dziś wieczorem.

\*

Po obiedzie pojechał do Boulogne, gdzie od godziny czternastej przeprowadzał z lekarzami konsultacje. Załatwił swoich pacjentów szybko. Najpierw młoda matka chłopczyka z zajęczą wargą. Potem cały wachlarz nosów – poniedziałek był „dniem nosów”. Nosy złamane, nosy wielkie, nosy kształtem odbiegające od normy...

Dokładnie badał twarze po obu stronach przegrody nosowej, prezentował fotografie przedstawiające przypadki przed i po zabiegu. Wśród jego pacjentów większość stanowiły kobiety, ale zdarzali się także mężczyźni.

Kiedy już wszystkich przyjął, zajął się studiowaniem najnowszych badań amerykańskich. Roger przyjechał o osiemnastej i zawiózł go z powrotem do Vénisot.

Lafargue zapukał do drzwi apartamentu Ewy, po czym sam otworzył wszystkie zamki. Całkiem naga grała na pianinie, sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zauważyła jego przyjscia. Delikatnie potrząsała głową w takt wygrywanej melodii, jej czarne włosy spięte kłamrą tańczyły na ramionach. Lubił patrzeć na jej umięśnione i jędrne plecy, dołeczek na pośladkach i same pośladki... Nagle przerwała słodko brzmiącą sonatę i mocno uderzyła w klawisze, Zabrzmiały pierwsze takty najbardziej znieawidzonej przez Richarda melodii, a Ewa zanuciła chrapliwym, niskim głosem:

– *Some day, he'll come along, the man I love...* – Przerwała i silnym uderzeniem w klawisze wzięła fałszywy akord. Odwróciła się i spojrzała na Richarda. Lekko rozchyliła uda, ręce oparła na kolanach i w tej wyzywającej pozie siedziała bez ruchu.

Richard przez jakiś czas nie mógł oderwać oczu od włosów na jej wzgórku łonowym. Zmrużyła oczy i jeszcze bardziej rozchyliła nogi. Palcami rozchyliła wargi sromowe, jęcząc przy tym lubieżnie.

– Dość tego! – krzyknął.

Niezręcznym ruchem wyjął perfumy kupione w południe. Zmierzyła go drwiącym wzrokiem. Postawił flakonik na toaletce i podał jej peniuar.

Wstała z taboretu, zrzuciła peniuar na ziemię i całą sobą przyłgnęła do niego z uległym uśmiechem. Zarzuciła mu ramiona na szyję, piersiami naparła na jego tors. Uwalniając się z jej objęć, lekko wykręcił jej ręce.

– Przygotuj się – rzekł rozkazująco. – To był piękny dzień. Wyjedziemy gdzieś.

– Mam się przebrać za kurwę?

Rzucił się na nią i złapał za szyję. Zaczęła się dusić, więc czym prędzej ją puścił.

– Wybacz – wybełkotał. – Ubierz się, proszę.

Wzburzony szedł do salonu. Chciał się uspokoić. Zaczął przeglądać korespondencję. Nie znosił zajmowania się papierkową robotą związaną z prowadzeniem i utrzymywaniem domu, ale od czasu do czasu pojawienia się Ewy musiał zwolnić sekretarkę.

Obliczył nadgodziny pracy Rogera i zaległą należność za urlop Line, ale pomylił się w stawkach godzinowych, więc zaczął od początku. Kiedy w salonie pojawiła się Ewa, wciąż jeszcze siedział przy tych papierach.

Wyglądała oszałamiająco. Miała mocno wydekoltowaną suknię obszytą czarnymi cekinami i naszyjnik z pereł. Gdy pochyliła się nad nim, poczuł zapach nowych perfum.

Wzięła go pod rękę i wyszli. Pojechali do lasu Saint-Germain pełnego spacerowiczów cieszących się ciepłym wieczorem. Szła obok z głową opartą na jego ramieniu. Na chwilę zatrzymali się i wtedy opowiedział jej o porannej operacji.

– Trujesz – powiedziała.

Zamilkł nieco urażony. Dotknęła jego ramienia i usiadła na ławce.

– Richard?

On sprawiał wrażenie nieobecnego. Głośniej powtórzyła jego imię, wreszcie usiadł obok niej.

– Chciałabym zobaczyć morze, tak dawno nie widziałam... Uwielbiałam pływać, wiesz? Pojechać choćby tylko na jeden dzień, żeby popatrzeć... Potem zrobię wszystko, co zechcesz.

Wzruszył ramionami i wytłumaczył, że nie na tym polega problem.

– Przyrzekam, że nie ucieknę...

– Twoje obietnice nic nie znaczą. I tak zrobisz, co zechcę!

Zniecierpliwiony kazał jej zamilknąć. Przeszli się jeszcze kawałek nad brzegiem rzeki. Młodzi pływali po Sekwanie na deskach z żaglami.

– Głodna jestem – stwierdziła i czekała na jego reakcję.

Poszli do pobliskiej restauracji. Usiedli na zewnątrz, w altance. Ona jadła dużo, z apetytem, on prawie niczego nie tknął. Nie mogąc sobie poradzić z langustą, udawała zagniewanie i robiła miny rozkapryszonemu dziecku. Śmiał się, bardzo go to bawiło. W pewnym momencie, gdy tak patrzył w jej roześmianą twarz, pomyślał sobie: Mój Boże! Ona czasem wydaje się prawie szczęśliwa! Aż trudno uwierzyć! To niesprawiedliwe.

Ewa wyczuła zmianę jego nastroju i postanowiła to wykorzystać. Dała znak, żeby przybliżył do niej ucho, i wyszeptwała:

– Słuchaj, ten kelner od początku nie spuszcza ze mnie oczu. Mogę się z nim umówić na później...

– Zamknij się!

– Naprawdę. Pójdę do toalety. Umówię się z nim i dam się przelecieć tu obok w krzakach.

Odsunął się od niej, ale ona dalej szeptała, tylko donośniej i z większą drwiną

w głosie:

– Nie chcesz? Naprawdę? Mógłbyś się schować i wszystko widzieć. Jakoś go doprowadzę do ciebie. Spójrz! Ślini się na mój widok...

Dymem z papierosa dmuchnął jej w twarz, ale ona dalej kusiała:

– Naprawdę nie chcesz? Taki szybki numerek z podciągniętą kiecką. Kiedyś to lubiłeś.

„Kiedyś” Richard rzeczywiście zabierał Ewę do lasu – Vincennes lub Boulogne – i zmuszał do oddawania się nocnym przechodniom, obserwując z krzaków jej upadek moralny. Później z obawy przed policją, której interwencja byłaby katastrofą dla jego kariery, wynajął kawalerkę przy ulicy Godot-de-Mauroy. Od tej chwili zmuszał Ewę do prostytucji regularnie dwa, trzy razy w miesiącu. To wystarczyło do uśmierzenia jego nienawiści.

– Dzisiaj postanowiłaś stać się nie do wytrzymania – stwierdził. – Prawie mi ciebie żal.

– Nie wierzę!

Prowokuje mnie! – pomyślał. Chce, bym uwierzył, że dobrze jej w tym gównie, w którym musi się taplać. Chce, bym uwierzył, że to upodlenie sprawia jej przyjemność...

Ewa kontynuowała swoją grę, puszczając nawet oko do kelnera, który zaczerwienił się po uszy.

– Chodźmy stąd! Jeżeli tak ci zależy na uszczęśliwianiu mnie, to jutro wieczorem sprawdzę zlecenie dla ciebie. A może poproszę cię o trochę roboty na chodniku.

Uśmiechnęła się i lekko dotknęła jego dłoni. Wiedział doskonale, jak bardzo cierpiała za każdym razem, kiedy zmuszał ją do prostytucji. Czasami z ukrycia za weneckim lustrem widział łzy w jej oczach, dostrzegał, że nie potrafiła skrywać bólu. Wtedy cieszył się jej cierpieniem, które stanowiło dla niego swego rodzaju pociechę...

Wrócili do Vésinet. Przebiegła przez ogród, rozbierając się po drodze, i z okrzykami radości wskoczyła do basenu. Nurkując, rozchłapywała wodę dookoła.

Kiedy wyszła z basenu, wytarł ją i okrył wielkim prześcieradłem kąpielowym. Pozwalała mu na to, wpatrując się w gwiazdy. Potem jak co dzień odprowadził ją do apartamentu, gdzie jak co dzień położyła się spać na macie. Przygotował fajkę z kulkami opium i podał jej.

– Richardzie – mruknęła – jesteś największym łajdakiem, jakiego widziałam... naprawdę...

Pilnował, żeby zażyła swoją codzienną porcję narkotyku, choć nie musiał jej do tego zmuszać. Od dawna już była uzależniona...

\*

*Do silnego pragnienia dołączył głód. Odnosiłeś wrażenie, jakby twoje*

wysuszone gardło wypełnione było ostrymi kamieniami. Pojawiły się ostre, promieniujące bóle brzucha. Miałaś skurcze żołądka, powodujące zgagę.

Od wielu dni – bo przecież musiało już upłynąć dużo czasu – tkwiłaś w tej norze. A może to nie była nora. Raczej nie była... Wydawało ci się, że całe pomieszczenie jest dość duże. Echo twoich krzyków i twoje oczy przywykłe do ciemności prawie mogły określić granicę tego więzienia.

Cały czas majaczyłaś. Leżałaś na sienniku, oraz rzadziej wstawiałaś. Chwilami jeszcze próbowałaś szarpać lub przegryzać łańcuchy. Charczałaś jak pokonane zwierzę.

Kiedyś oglądałaś dokumentalny film o polowaniu. Żalony obraz lisa schwytanego w sidła, który odgryzł sobie łapę, by się uwolnić i uciec.

Nie potrafiłaś odgryźć sobie dłoni i stóp. Nadgarstki i kostki krwawiły z powodu obtarć o metalowe kajdany. Z trudem oddawałaś mocz palącymi kropelkami. Ból nerek przy każdym parciu na pęcherz stawał się nie do zniesienia. Tarzałaś się we własnych ekskrementach zaschniętych jak strupy na twoim ciele.

Spałaś – o dziwo – spokojnie. Jak kamień. Najgorsze były przebudzenia wśród koszmarów i halucynacji. W ciemnościach czaiły się potwory gotowe w każdej chwili skoczyć i wgryźć się w twoje ciało. Słyszałaś szuranie pazurów – to szczury czaiły się w ciemnościach, śledząc cię żółtymi ślepiami.

„Alex!” – wołałaś, ale to imię wypowiedane twoimi ustami zamieniało się w charczący bełkot. Gdyby tu był, wyrwałby ze ściany łańcuchy, wiedziałby, co trzeba zrobić. Alex znalazłby wyjście z tej sytuacji, zastosowałby jakiś prosty, chłopski wybieg. Alex! On powinien przecież cię szukać. Jak długo jeszcze?!

Wreszcie pojawił się ON. Któregoś dnia lub nocy, trudno powiedzieć. Przed tobą w oddali otworzyły się drzwi. Prostokąt oślepiającego światła.

Drzwi się zamknęły, ale ON wszedł. JEGO obecność wypełniła twoje więzienie.

Wstrzymałaś oddech wyczekująco, chciałaś wyłowić najcichszy odgłos. Kulilaś się przy ścianie oszalała ze strachu jak karaluch. Byłaś niczym komar w pajęczynie. Pająk trzymał cię – następny posiłek – w swojej spiżarni. Stałaś się jeńcem pająka, który będzie się delektował tobą w spokoju, kiedy nadejdzie go ochota na świeżą krew. Wyobrażałaś sobie jego włochate odnóża, wybaluszone bezlitosne ślepia, miękki odwłok wypełniony wibrującymi jak galareta wnętrznościami i jadowite kły w czarnej paszczy, którą miał wyssać z ciebie życie.

Nagle oślepił cię silny reflektor. Czułaś się jak jedyny aktor na scenie, zaraz odegrasz ostatni akt dramatu – własną śmierć. Dostrzegłaś sylwetkę usadowioną w fotelu stojącym trzy, cztery metry od ciebie. Jednak oślepiające światło uniemożliwiała ci rozpoznanie twarzy tego potwora, który założywszy nogę na nogę, wpatrywał się w ciebie nieruchomo.

Nadludzkim wysiłkiem udało ci się uklęknąć i złożywszy ręce jak do modlitwy, błagałaś o wodę. Słowa utknęły ci w ustach. Cały czas w błagalnym geście trzymałaś wyciągnięte przed sobą ręce.

Potwór nawet nie drgnął.

– Vincent Moreau... – wybełkotałaś. – Pomyłka. Proszę pana, to jakaś pomyłka. Nazywam się Vincent Moreau.- I zemdlalaś.

Kiedy odzyskałaś przytomność, jego nie było. Zniknął. Wtedy zrozumiałaś, co

*to znaczy rozpacz. Reflektor nadal był zapalony. Spojrzałeś na swoje ciało – na zaropiałe strupy, plamy brudu, obtarcia spowodowane kajdankami, kawałki gówna zaschnięte na udach, przerośnięte paznokcie.*

*Silne białe światło powodowało łzawienie oczu. Minęło wiele czasu, zanim powrócił. Znowu zasiadł w fotelu przed tobą. Na podłodze postawił dzbanek... Czyżby woda? Byłeś już na czworakach z wyciągniętą szyją. Podeszedł i wylał wszystko z dzbanka na twoją głowę. Chleptałeś wodę porozlewając dookoła siebie. Drżącymi rękoma wyciskałeś resztki wody z włosów i oblizywałeś dłonie.*

*Wyszedł i przyniósł następny dzbanek z wodą, którą natychmiast łapczywie wypić. Poczuleś nagły ból w brzuchu i załatwiłeś się pod siebie wodnistą strugą. Przyglądał ci się cały czas. Ty też nie odwróciłeś się do ściany, żeby uciec przed tym spojrzeniem. Skulony u jego stóp byłeś szczęśliwy. Zwykle zwierzę – spragnione wody, wygłodzone i umęczone. Zwierzę, które nazywało się Vincent Moreau.*

*Zaśmiał się tym samym uradowanym, prawie dziecięcym śmiechem, który słyszałeś w lesie.*

*Wracał często, żeby cię napić. W świetle reflektora wydawał się olbrzymem, a jego groźny cień wypełniał niemal całe pomieszczenie. Ale przestałeś się bać. Dawał ci przecież pić. A to znaczyło, że nie chciał twej śmierci.*

*Później przyniósł metalową menażkę wypełnioną papką, w której tkwiły czerwone kawałki mięsa. Złapał cię za włosy, odchylił głowę do tyłu i zmusił, żebyś jadł mu z ręki. Oblizywałeś mu palce, wysysając sos. To było nadzwyczaj smaczne. Pozwolił ci zjeść samemu. Dokończyłeś posiłek, leżąc na brzuchu, z głową wetkniętą w naczynie. Nie zostawiałeś ani odrobiny tego, co twój pan ci ofiarował.*

*W ciągu następnych dni przychodził do twojego więzienia, przynosił dzbanek, menażkę pełną takiego samego kleiku i patrzył, jak wylizujesz wszystko do czysta. Gdy odchodził, zawsze słyszałeś jego śmiech.*

*Powoli odzyskiwałeś siły. Zaoszczędziłeś trochę wody do mycia i załatwiałeś się zawsze po prawej stronie swego ceratowego legowiska.*

*Zdradliwa nadzieja powróciła – twojemu panu zależało na tobie.*

\*

Wiejską ciszę rozdarł warkot silnika samochodu. Alex podskoczył gwałtownie. Spojrzał na zegarek. Była siódma rano. Ziewnął i poczuł piekącą zgagę. Żeby zasnąć, popijał w nocy dżin zmieszany z piwem.

Sięgnął po lornetkę i spojrzał na drogę. Rodzinka holenderskich turystów siedziała w komplecie w swoim terenowym samochodzie, dzieci trzymały wiaderka i łopatki, najwyraźniej wybierali się nad morze. Młoda mama miała na sobie kostium bikini, jej ciężkie piersi wypychały cienki materiał stanika. Alex cierpiał na poranną erekcję... Odkąd nie miał kobiety? Co najmniej sześć tygodni. Ostatnia była dziewczyna z farmy, ale dawno temu.

Z Annie znali się od dzieciństwa. Miał ją wciąż przed oczyma – dziewczynka z rudymi warkoczami na szkolnym podwórku. Prawie już zapomniał, że wtedy

prowadził życie wiejskiego kmiotka. Tuż przed napadem na bank odwiedził swoich rodziców wiodących nadal spokojne wiejskie życie.

Pewnego deszczowego popołudnia wjechał fordem na podwórko rodziców. Ojciec czekał na ganku. Alex był dumny ze swojego ubioru, z butów i z tego, że wygląda jak człowiek nowoczesny, że nie jest przesiąknięty zapachem, który zawsze towarzyszy ludziom pracującym na roli.

Ojciec trochę się boczył. To nie jest dobry zawód takie udawanie siłacza w nocnych klubach miasteczka. Ale zarobki były niezłe. Jego syn miał klasę. A największe wrażenie robiły na ojcu dłonie Alexa ze starannym manikiurem. Powitał syna serdecznie.

Usiedli we dwóch w jadalni, twarzą w twarz. Ojciec wyjął chleb, kiełbasę, ciasto i litr czerwonego wina. Zaczęli jeść. Alex wolał zapalić papierosa, niż wypić wino z musztardówki. Matka stanęła obok, przyglądając się synowi w milczeniu. Przyszli również Louis i René, pomocnicy ojca. O czym mieli rozmawiać? O pogodzie? O tym, czy będzie padać? Alex wstał, z czułością klepnął ojca w plecy i poszedł się przejść po głównej ulicy wioski. W oknach domów ukradkiem odchyłały się zasłonki, obserwowano, jak kroczy syn Barny'ego...

Wstąpił do Café des Sports i chcąc zrobić dobre wrażenie na gościach, postawił wszystkim kolejkę. Kilku starszych grało w karty, przy przekładaniu talii waląc silnie pięściami w stół. Kilku wyrostków wprawiało się na flipperze. Alexa rozpieszała duma, że jemu naprawdę powiodło się w życiu. Ścisnął ludziom ręce i wznosił za wszystkich toasty.

Na ulicy minął panią Moreau, matkę Vincenta. Kiedyś była to piękna, zgrabna i elegancka kobieta, ale od czasu zniknięcia jej syna bardzo się opuszczała, postarzała, przestała przywiązywać wagę do ubioru i nosiła byle co. Powłócząc nogami, zgarbiona, robiła zakupy w pobliskim sklepie.

Każdego tygodnia odwiedzała komisariat w Meaux i pytała o postępy w poszukiwaniach. Po czterech latach straciła nadzieję. Wysłała ogłoszenia z fotografią Vincenta do wszystkich gazet. Bez rezultatu. Żandarmi byli z nią szczerzy. Każdego roku znikano we Francji tysiące ludzi, wielu na zawsze. Odnaleziony motocykl Vincenta stał teraz w garażu. Żandarmi zwrócili go matce po zdjęciu śladów – a odciski palców należały jedynie do Vincenta. Policja natknęła się na porzucony motocykl, leżał na nasypie, bez paliwa, ze scentrowanym przednim kołem... W lesie nie znaleziono żadnych śladów.

Alex spędził noc w wiosce. Wieczorem jak co sobotę była zabawa. Annie też tam przyszła. Była nieco pulchniejsza, włosy miała wciąż rude. Pracowała w sąsiedniej wiosce, w fabryce konserw. Alex zatańczył z nią powolny kawałek, potem poszli do pobliskiego lasku. Kochali się w samochodzie, leżąc niewygodnie na rozkładanych fotelach.

Nazajutrz wyjechał, uściskawszy przedtem starego ojca. Osiem dni później napadł na oddział banku Crédit Agricole i zabił gliniarza. W wiosce pewnie wszyscy zachowali pierwszą stronę dziennika ze zdjęcie jego i policjanta z rodziną.

Zdjął opatrunek. Blizna była gorąca, a brzegi rany mocno zaczerwienione. Posypał udo pudrem, który dał mu jeden z nowych kumpli. Owinął nogę mocno bandażem. Penis jak co rano bolał mocno. Alex, wściekły na siebie, zaczął się

onanizować, myśląc o Annie. Nie miał wielu dziewczyn. Musiał im płacić. Kiedy jeszcze byli z Vincentem, wszystko szło o wiele lepiej. Vincent podrywał dziewczyny na pęczki. Często razem chodzili na zabawy. Vincent tańczył z wszystkimi panienkami w okolicy. Alex siadał przy barze i pił piwo, przyglądając się wyczynom Vincenta, który urzekał dziewczyny swoim uśmiechem. Mogły zrobić dla niego wszystko. Wystarczyło, że lekko kiwnął głową zapraszająco, a już każda była przy nim i pozwalała, by jego dłonie przesuwwały się delikatnie po plecach od ramion po pośladki w delikatnej pieśczoce. Potem szli do baru i Vincent przedstawiał dziewczynę Alexowi.

Kiedy wszystko szło dobrze, Alex był następny, ale nie zawsze. Niektóre nagle zaczynały udawać świętoszki. Nie gustowały w nim, bo był wielki, owłosiony jak niedźwiedź, kanciasty i niezdarny... Wołały Vincenta – drobnego, dobrze ogolonego, z pięknym pyskiem!

Onanizował się, zatopiony we wspomnieniach. Starał się pośpiesznie przywołać w pamięci korowód dziewczyn, którymi się dzielili. Vincent, ten łajdak, zostawił mnie, pomyślał. Teraz jest może w Ameryce i zalicza tam aktoreczki. Na białej ścianie obok łóżka wisiała fotografia nagiej dziewczyny z okładki jakiegoś kalendarza. Alex przytknął oczy i sperma spłynęła mu na rękę – ciepła i gęsta jak śmietana. Wytarł dłoń w gazę opatrunkową i zszedł do kuchni zaparzyć sobie mocną kawę. Czekał, aż zagotuje się woda, rozsunął stos brudnych talerzy piętrzących się w zlewie i wsadził głowę pod kran.

Pił powoli z parującego kubka, pogryzając resztki kanapki. Na zewnątrz panował upał utrudniający oddychanie. Słońce stało wysoko na niebie. Włączył radio, złapał stację RTL, żeby posłuchać, jak grają w „Walizkę”. Miał w nosie tę grę, ale bawiło go słuchanie frajerów udzielających błędnych odpowiedzi i tracących obiecywane wygrane...

Bawiło go, bo sam nie stracił ani grosza. W swej walizce – właściwie to była torba, a nie walizka – miał cztery miliony\*. Istna fortuna. Nieustannie przeliczał nowiutkie, szeleszczące banknoty. Sprawdzał w encyklopedii, kogo przedstawiają poszczególne nominały. Voltaire, Pascal, Berlioz... dziwne byłoby posiadanie swojego portretu na pieniądzu – to jakby samemu stać się forszą.

Rozsiadł się na kanapie przy rozłożonych puzzlach. Z dwóch tysięcy kawałków układał widoczek przedstawiający zamek w Touraine koło Langeais. Wkrótce obrazek będzie gotowy. W pierwszych dniach pobytu znalazł tu na strychu kilka pudełek z modelami do klejenia. Za pomocą kleju, farbek i kalkomanii stworzył modele stukasa, spitfire'a, a nawet samochód – Hispano Suiza model 1935. Starannie pomalowane i ustawione na podkładkach, trzymał je wszystkie na podłodze. Kiedy zabrakło modeli, zajął się klejeniem makiety farmy swoich rodziców – dwa budynki, stodoła, płot... Makieta zrobiona z zapalek wyglądała nieporadnie i dziecinnie naiwnie, ale wzruszająco. Brakowało tylko traktora. Alex wyciągnął go z kawałka tektury. Potem przeszukał jeszcze strych i znalazł tam puzzle.

Chata, w której się ukrywał, należała do znajomego z knajpy, gdzie pracował jako wykidajło. Mógł tu siedzieć wiele tygodni bez obawy, że niespodziewanie złoży mu wizytę jakiś ciekawski sąsiad. Ten sam kumpel zaopatrzył go w fałszywy dowód

---

\* Około 1 miliona euro.



osobisty, ale sławna teraz twarz Alexa, opatrzona specjalnymi adnotacjami, zdobyła najpewniej wszystkie komisariaty we Francji. Gliniarze nie darowali, kiedy zabijano jednego z nich.

Kawałki układanki jak zaczarowane za nic nie chciały się dalej dopasować do wzoru pokazującego kawałek błękitnego nieba. Z wieżami zamku i zwodzonymi mostami szybko się uporał, ale niebo okazało się bardzo trudne do ułożenia. Niebo! Puste i zwodniczo łagodne. Ze złości pomieszał wszystkie kawałki i znowu musiał zaczynać od początku.

Po podłodze, tuż obok deski, na której układał puzzle, szedł pająk. Tłusty i odrażający. Wybrał sobie kawałek muru i zaczął przy nim tkać pajęczynę. Nitka wysnuwała się systematycznie z jego odwłoka. Pająk chodził pracowicie tam i z powrotem. Alex podpalił pajęczynę zapalką. Pająk z początku zaczął szukać nieprzyjaciela, ale nie posiadając żadnej instynktownej wiedzy na temat zapalki, przystąpił do cierpliwego odbudowywania sieci. Tkał nieprzerwanie, zaczepiając ją o kawałki wystającego tynku, wykorzystując najmniejsze odpryski drewna. Alex znalazł martwego komara i wrzucił do świeżo zrobionej pajęczyny. Pająk natychmiast podbiegł do owada, obszedł go dookoła i zostawił w spokoju. Alex rozumiał powód tej obojętności. Zdobycz była martwa. Kulejąc, wyszedł na ganek i złapał ćmę kryjącą się pod dachówką. Rzucił ją na pajęczynę. Opleciona lepкими włóknami daremnie walczyła o wolność. Pająk tym razem zrobił wokół ofiary kokon i ukrył ją w szczeliny ściany z przeznaczeniem na przyszły użytek.

\*

Ewa siedziała przy lustrze toaletki i przyglądała się swojej twarzy – szczupłej, dziecięcej twarzy o smutnych oczach. Palcem wskazującym przejechała po policzku, nacisnęła lekko kość policzkową, potem zsunęła palec na podbródek i przez wargi wyczuła zarys zębów. Kości policzkowe miała wydatne, nos o doskonałych kształtach delikatnie zaokrąglony.

Lekko przekręciła głowę i pochyliła lustro zdziwiona dziwnym wrażeniem, które wywołała w niej własna twarz. Twarz doskonała, wywołująca uczucie niepokoju spowodowanego tak oszałamiającą urodą. Nie spotkała jeszcze mężczyzny, który potrafiłby jej się oprzeć, żaden nie pozostał obojętny. I żaden nie umiał zrozumieć, na czym polega tajemnica jej uroku. Każdemu ruchowi towarzyszył trudny do określenia czar. Pociągała wszystkich mężczyzn, zmuszała, by o niej myśleli, rozbudzała pożądanie i wykorzystywała zakłopotanie, które odczuwali w jej obecności.

Dowody takiej mocy uwodzenia napawały ją jakimś ambiwalentnym spokojem. Z jednej strony chciałaby ich odepchnąć, zmusić, by zostawili ją w spokoju, niekiedy chciała nawet wzbudzać w nich odrazę. Z drugiej strony fascynacja, którą bezwiednie wzbudzała, stanowiła dla niej jedyną możliwość wyrażenia zemsty, śmieszna w swej niezawodności.

Skończyła makijaż i z pokrowca wyjęła przybory do malowania. Rozłożyła

paletę, pędzle i zajęła się wykańczaniem obrazu, nad którym pracowała. Był to toporny i pozbawiony wdzięku portret Richarda. Przedstawiała go siedzącego na stołku barowym, przebranego za kobietę, z rozchylonymi nogami. W ustach trzymał firkę z papierosem. Ubrany był w różową sukienkę, pas do pończoch, czarne pończochy i buty na wysokich obcasach...

Uśmiechał się bezmyślnie i ogólnie wyglądał głupkowato. Jego sztuczne piersi zwisały żałośnie na obwisłym brzuchu. Twarz, namalowana z maniacką precyzją, pokryta była trądzikiem. Patrząc na taki wizerunek, można było nawet sobie wyobrazić głos tej groteskowej i godnej pożałowania postaci; skrzeczący, niewyraźny głos zmęczonej życiem bazarowej przekupki...

\*

*Twój pan cię nie zabił, ale potem zaczął tego żałować. Teraz traktował cię lepiej. Mył cię wężem ogrodowym. Polewał letnią wodą z daleka, a nawet rzucił kawałek mydła.*

*Reflektor palił się nieprzerwanie. Wieczna noc zmieniła się w wieczny dzień, sztuczny, zimny, oślepiający.*

*Twój pan przychodził na długie godziny, siadał w fotelu i obserwował bacznie każdy twój gest.*

*Na początku nie śmiałaś się odezwać ze strachu przed jego gniewem. Bałaś się powrotu ciemności, pragnienia i głodu. Wiedziałaś, że znowu może cię ukarać za twój błąd, którego natury wciąż nie rozumiałaś, ale który musiałaś odpokutować.*

*Później nieco zhardziałaś. Najpierw nieśmiało zapytałaś o datę, żeby wiedzieć, jak długo byłeś uwięziony. Odpowiedział ci z uśmiechem i bez namysłu – dwudziesty trzeci października... Uwięził cię przeszło dwa miesiące temu. Dwa miesiące głodu, pragnienia, jedzenia z ręki, lizania zelówek na czworakach i polewania szlauchem.*

*Plakałaś i pytałaś go, dlaczego ci to robi. Milczał. Obserwowałaś jego nieprzeniknioną twarz, z której przebijał nawet pewien wyraz szlachetności. Twarz, którą chyba widziałaś już gdzieś wcześniej.*

*Wciąż przychodził do twojego więzienia i siedział nieporuszony. Znikał i znów się pojawiał. Koszmary męczące cię na początku znikły. Może dodawał do kleiku środki usypiające? Oczywiście niepokój pozostał. Ale teraz zupełnie inny. Wiedziałaś, że pozostaniesz przy życiu, inaczej już by cię zabił... Nie miał zamiaru cię zabijać ani zagłodzić na śmierć. Chodziło o coś innego.*

*Po jakimś czasie rytuał posiłków uległ zmianie. Twój pan ustawił przed tobą składany stolik i taboret. Dał ci jednorazowy widelec i nóż z plastyku. Talerz zastąpił menażkę. Pojawiły się prawdziwe posiłki. Owoce, warzywa, sery. Odczuwałaś wielką radość z jedzenia, bo pamiętałaś pierwsze dni swojego tu pobytu...*

*Wciąż byłeś przykuty do ściany, ale teraz twój pan leczył obtarcia wywołane kajdankami. Smarowałaś sobie rany maścią, on później sam zakładał ci elastyczny opatrunek, wsuwając go pod metalowe obręcze.*

*Twoja sytuacja była lepsza, lecz on wciąż milczał. To ty opowiadałaś mu swoje*

życie. Słuchał z wielkim zainteresowaniem. Jego milczenie było dla ciebie nieznośne. Musiałeś sam coś mówić, powtarzać te same historie, anegdoty z dzieciństwa, zachłystywać się słowami, by sobie i jemu udowodnić, że nie jesteś zwierzęciem.

Jedzenie dostawałeś z dnia na dzień lepsze. Zacząłeś mieć prawo do wina, do wyszukanych potraw, które musiały być zamawiane w restauracji. Zastawa zrobiła się luksusowa. Przykuty do ściany, całkiem nagi, siedząc na taborecie, obżerałeś się kawiozem, łososiem, sorbetami i ciastkami.

Siadał obok ciebie, podawał ci kolejne dania. Przyniósł również odtwarzacz i razem słuchaliście Chopina, Liszta.

Nawet w dziedzinie najbardziej intymnych potrzeb również okazał się bardziej ludzki. W zasięgu ręki pojawiła się przenośna toaleta.

Wreszcie pewnego dnia zaczął pozwalać ci na spacer. Odpinał łańcuchy od ściany i pozwalał chodzić wokół reflektora, prowadząc cię jak na smyczy.

Potem przyniósł ci książki. Była to klasyka – Balzac, Stendhal... W liceum nie znosiłeś tej lektury, ale teraz pochłaniałeś książki, siedząc po turecku na ceracie lub opierając się o stolik.

Z czasem miałeś coraz więcej rozrywek. Wieża hi-fi, płyty, elektroniczne szachy. Czas zaczął płynąć coraz szybciej. Twój pan nawet zmniejszył natężenie światła reflektora, żeby już cię tak nie oślepiało. Kawalkiem materiału przysłonił szybę lampy, piwnica wypełniła się cieniami. Twoimi.

Te wszystkie zmiany w połączeniu z brakiem brutalności twojego pana i z luksusem, który powoli łagodził twoją samotność, spowodowały, że zapomniałeś o strachu. Przynajmniej trochę go w sobie stłumiłeś. Nagość i kajdanki stały się po prostu ekstrawagancją.

Przechadzki na łańcuchu nie ustawały. Stałeś się wytresowanym i myślącym zwierzęciem. Ale cierpiełeś na luki w pamięci. Czasami wyraźnie zdawałeś sobie sprawę z absurdalności całej sytuacji, z jej nierzeczywistości. Umierałeś z chęci wypytania swojego pana, ale on cię do tego zniechęcał. Pytał, co byś zjadł na obiad, czy podobała ci się płyta...

Pytał cię o rodzinę, znajomych. Ktoś powinien cię szukać. Twarze twoich przyjaciół zlewały się we wspomnieniach, zatapiały w gęstej mgle. Nie potrafiłeś już przypomnieć sobie twarzy Alexa, koloru jego włosów... Gadałeś do siebie na głos, podśpiewywałeś dziecinne rymowanki – twoje dzieciństwo powracało nagłą falą z przedziwną ostrością, by po chwili również utonąć we mgle. Nawet czas zaczął wariować i biegł coraz szybciej. Sam już nie wiedziałeś, czy upłynęła minuta, miesiąc czy rok...

Twój pan zauważył ten stan i podarował ci budzik. Liczyłeś teraz godziny, z zachwytem obserwując ruchy wskazówek. Ale to też było umowne. Jest dziesiąta rano czy dwudziesta druga wieczorem? Wtorek czy środa? To i tak nie miało znaczenia. Ale mogłeś złapać jakiś rytm życia. W południe jestem głodny, a o północy idę spać. Miałeś wreszcie czego się trzymać.

Minęły kolejne tygodnie. Wśród prezentów od twojego pana znalazłeś blok rysunkowy, ołówki i gumkę. Zacząłeś rysować. Z początku nieporadnie, ale z czasem powróciła dawna sprawność. Szkicowałeś portrety bez twarzy, usta, chaotyczne krajobrazy, morze, potężne urwiska, olbrzymią dłoń tworzącą fale. Zrobiłeś rysunki

*na ścianach, żeby zapomnieć o gołym betonie.*

*W myślach nadałeś swojemu panu imię. Nie ośmieliłeś się oczywiście używać go w jego obecności. Nazwałeś go Tarantulą przez pamięć swych minionych koszmarów.*

*Tak, był Tarantulą. Jak pajak podstępny i tajemniczy, okrutny i bezlitosny, zachłanny i nienasycony w swoich nieodgadnionych pragnieniach chował się gdzieś i tkął miesiącami luksusową pajęczynę, złotą klatkę, której był strażnikiem, a ty więźniem.*

*Przestawałeś płakać i użalać się nad sobą. Z materialnego punktu widzenia twoje nowe życie było znośne. O tej porze roku – był teraz luty czy marzec? - powinieneś kończyć ostatnią klasę liceum. Tymczasem pozostawałeś uwięziony w tym betonowym sześcianie. Nagość weszła ci w krew. Wstyd wygaśł zupełnie. Tylko kajdanki były nie do wytrzymania.*

*Gdzieś w maju – jeśli ufać twoim obliczeniom – zdarzyło się coś dziwnego. Budzik wskazywał godzinę drugą trzydzieści. Tarantula zszedł pooglądać sobie ciebie. Jak zwykle siedział w fotelu. Rysowałeś coś. Nagle wstał i podszedł do ciebie. Ty również się podniosłeś.*

*Wasze twarze prawie się stykały. Patrzyłeś w jego niebieskie oczy – jedyny ruchomy element jego kamiennego oblicza. Tarantula położył ci rękę na ramieniu. Drżącymi palcami dotykał twojej szyi. Macał twoje policzki, nos, delikatnie szczypiąc skórę.*

*Serce biło ci jak szalone. Jego ciepła dłoń zawędrowała na twoją pierś, potem niżej na biodra i brzuch. Klepał cię po mięśniach, po gładkiej, nieowłosionej skórze. Źle zinterpretowałeś jego gesty. Nieporadnie próbowałeś popieścić jego twarz. Tarantula spoliczkował cię boleśnie, zaciskając zęby. Kazał ci się odwrócić i kontynuował swoje badania jeszcze przez wiele minut.*

*Kiedy skończył, usiadłeś, masując policzek wciąż piekący po uderzeniu. Twój pan zaśmiał się i delikatnie rozczochrał twoje włosy. Uśmiechnąłeś się.*

*Wyszedł, a ty nie wiedziałeś, co o tym sądzić. To była radykalna zmiana w waszych kontaktach. Ale zastanawianie się nad tym napawało cię niepokojem i wymagało wiele energii umysłowej, której nie miałeś w sobie od dawna.*

*Wróciłeś do rysowania, nie myśląc już o niczym innym.*

## 2

Alex porzucił puzzle. Wyszedł do ogrodu i zaczął rzeźbić w kawałku drewna oliwki. Nożem odcinał wysuszone fragmenty warstwa po warstwie i powoli formował trochę nieporadną, ale już rozpoznawalną kobiecą postać. Wielkim słomianym kapeluszem chronił się od słońca. Ta subtelna praca i popijane piwo pozwalały mu zapomnieć o ranie. Po raz pierwszy od długiego czasu czuł się zrelaksowany.

Aż podskoczył, kiedy usłyszał dzwonek telefonu. O mało nie skaleczył się nożem. Odłożył nieukończoną figurkę, wbiegł szybko do domu i wpatrywał się w telefon w prawdziwym osłupieniu.

Kto mógł wiedzieć, że tu jest?

Wyjął rewolwer, który zabrał zabitemu policjantowi. Ta broń była lepsza niż jego stary pistolet. Drżącą ręką podniósł słuchawkę. Może to tylko sprzedawca albo ktoś od telefonów, coś niegroźnego... albo jeszcze lepiej... zwykła pomyłka. Rozpoznał głos w słuchawce. To był dawny legionista u którego w zamian za pokaźną sumę pieniędzy schronił się po napadzie na bank. Gość opatrzył jego ranę. Na szczęście nie było poważniejszej operacji, bo kula przeszła na wylot przez mięsień czterogłowy uda. Potrzebne było małe szycie, antybiotyki i opatrunek, a facet zapewniał, że z jego doświadczeniem da sobie radę bez pomocy lekarzy. Zresztą Alex musiał się obyć bez pomocy pogotowia. Pojawienie się w jakimkolwiek szpitalu było wykluczone – policja już go poszukiwała.

Rozmowa trwała krótko. Właściciel chaty wpadł na jakiejś głupiej sprawie związanej z sutenerstwem i w ciągu najbliższych godzin należało się spodziewać rewizji we wszystkich jego mieszkaniach. Alex musiał wiać stąd jak najszybciej...

Wybąkał podziękowanie, ale rozmówca się rozłączył. Krążył w kółko bez celu, ściskając rewolwer i łkając z bezsilnej wściekłości. Wszystko zaczynało się od nowa... ucieczka, pogoń, strach przed złapaniem, włosy stające dęba na sam widok kepi żandarma.

Pakował się pośpiesznie. Pieniądze przełożył z torby do walizki. Ubrał się w znaleziony w szafie płócienny garnitur, trochę za duży, ale teraz to nie miało znaczenia. Bandaże na udzie lekko zaznaczały się przez spodnie. Ogolił się, włądował rzeczy do bagażnika – kilka ubrań na zmianę, przybory toaletowe. Opis tego auta nie powinien jeszcze trafić do policyjnych kartotek. To citroen CX z wypożyczalni załatwiony przez ekslegionistę, który go zapewniał, że z tej strony nic mu nie grozi.

Zamknął rewolwer w schowku i ruszył, zostawiając za sobą otwartą bramę. Po drodze minął Holendrów wracających znad morza.

Wszystkie główne drogi pełne były samochodów z turystami i ukrytych w krzakach żandarmów polujących na mandaty.

Pot służywał z Alexa obitymi strużkami. Falszywe papiery nie wytrzymają dokładniejszej kontroli, bo jego portret znajdował się na liście poszukiwanych.

Musiał natychmiast wracać do Paryża. Tylko tam mógł bez trudu znaleźć jakąś kryjówkę i poczekać, aż policji minie pierwsza złość, a rana na nodze się zablźni. Potem będzie się zastanawiał, jak wyjechać za granicę. Gdzie miałby wyjechać, teraz nie miał pojęcia... Przypominał sobie strzępy rozmów z przygodnie spotkanymi „przyjaciółmi”. Ameryka Południowa podobno jest idealnym miejscem. Teraz musiał się pilnować na każdym kroku. Jego fortuna mogła przyciągnąć rozmaite typy – wariatów, nadwrażliwych, panikarzy, zwykłych złodziei. Zaczynał mgliście zdawać sobie sprawę, że przyszłość wcale nie przedstawia się tak różowo, jak wcześniej sądził.

Myśl o więzieniu napawała go panicznym strachem. Kiedy Vincent zabrał go do sądu na obrady przysięgłych, nie sądził, że zrobi to na nim takie straszne wrażenie. Oskarżony, na stojąco słuchający wyroku, wył z przerażenia... Alex wciąż to widział w swoich koszmarach. Tę twarz wykrzywioną strachem i niedowierzaniem. Poprzysiągł sobie zachować jedną kulę dla siebie, gdyby został schwytany.

Do Paryża dotarł bocznymi drogami, omijając autostrady i drogi między narodowe, które bez wątpienia były pilnowane przez policję, zwłaszcza teraz, w czasie powrotów z wakacji. Miał tylko jeden punkt kontaktowy – ekslegionistę, który oficjalnie był dyrektorem prywatnej firmy ochroniarskiej. Skutecznie pomógł mu w ucieczce po napadzie na bank. Alex nie miał złudzeń co do motywów swego wybawcy – on po prostu liczył na forszę z napadu, chociaż nie spieszył się z jej odebraniem. Jeżeli sytuacja jakoś się ułoży, a banknoty okażą się nienotowane, wtedy wszystko będzie możliwe.

Były legionista doskonale wiedział, że Alex jest na jego łasce zarówno pod względem leczenia zranionej nogi, jak i zorganizowania wyjazdu. Alex nie był aż tak naiwny, żeby bezmyślnie wpadać w ramiona Interpolu...

Sam nie miał żadnych kontaktów za granicą, które zapewniłyby mu bezpieczeństwo. Wiedział, że jego opiekun w końcu poda swoją cenę za ucieczkę, za dobry paszport, za spokojną i dyskretną kryjówkę. Na pewno będzie to niemały procent wszystkich zdobytych w napadzie pieniędzy.

Alex szczerze nienawidził takich osobników. Chodzili w dobrze skrojonych eleganckich garniturkach, potrafili rozmawiać z kobietami, a on wciąż pozostał głupim kmiotkiem, którym można manipulować.

Tym razem wylądował w niewielkim domku pod Paryżem na peryferiach Livry-Gargan, w rezydencjalnej części Seine-Saint-Denis. Legionista ulokował go tu i zakazał ruszać się gdziekolwiek. Tak jak poprzednio Alex zastał pełną lodówkę, wygodne łóżko i telewizor.

Sąsiednie domy były puste albo zamieszkałe przez bankowców wstających skoro świt i wracających po pracy dopiero wieczorem. Zresztą latem przedmieścia zwykle były wyludnione. Alex powoli odzyskiwał spokój. Legionista nalegał, żeby

nigdzie nie wychodził, sam wyjeżdżał za granicę na kilka tygodni. Miał się skontaktować z Alexem dopiero po powrocie. Alex miał więc aż do września siedzieć tutaj. Telewizja, gotowanie sobie posiłków z mrożonek, odpoczynek i cierpliwe czekanie – to miały być teraz jego główne zajęcia.

### 3

Richard Lafargue spotkał się z przedstawicielem japońskiej firmy farmaceutycznej, która opracowała nowy typ silikonu używanego powszechnie przy operacjach plastycznych piersi. Słuchał uważnie, jak agent zachwala swój produkt, który miał być łatwiejszy do wstrzykiwania i modelowania. Biuro Lafargue'a zawałone było aktami pacjentów, a ściany upstrzone zdjęciami udanych operacji plastycznych. Japończyk mówił coraz bardziej gorączkowo.

Wezwano Richarda do telefonu. Jego twarz spochmurniała, głos stał się głuchy, drżący. Podziękował rozmówcy za telefon i przeprosił gościa za skrócenie spotkania. Umówił się na jutro.

Lafargue zdjął fartuch i pobiegł do samochodu, przy którym już czekał Roger. Odprawił go ruchem ręki, chciał poprowadzić sam.

Jechał bardzo szybko. Do obwodnicy, później autostradą w kierunku Normandii. Często używał klaksonu, kiedy jakiś samochód zbyt powolnie zjeżdżał na prawą stronę szosy. W niecałe trzy godziny dotarł do Instytutu Psychiatrycznego, w którym przebywała Viviane.

Wyskoczył z samochodu i jak szalony pognał po schodach do recepcji. Pielęgniarka natychmiast poszła odnaleźć psychiatrę, który opiekował się Viviane.

Razem pojechali windą na piętro i stanęli przed drzwiami izolatki. Lekarz gestem ręki przywołał Richarda do umieszczonego w drzwiach wizjera. Viviane miała atak. Darła na sobie koszulę, tupiała, wrzeszczała, drapała się do krwi.

– Jak długo to trwa? – zapytał Richard szeptem.

– Zaczęło się rano. Dostała zastrzyk uspokajający, który zaraz powinien zacząć działać.

– Nie, nie można jej tak zostawić. Podwójcie dawkę! Biedna maleńka... – Ręce mu się trzęsły ze zdenerwowania. Oparł się o drzwi, zaciskając usta. – Viviane, maleńka... Vivianne. Otwórzcie drzwi, chcę tam wejść.

– To niewskazane. Widok innych osób jeszcze bardziej ją rozdrażnia. – Lekarz nie chciał ryzykować.

Viviane ukucnęła w rogu pokoju, oddech miała ciężki i przyspieszony. Cały czas paznokciami rysowała na twarzy krwawe szramy. Richard wszedł, usiadł na łóżku i cicho szeptał jej imię. Zaczęła znowu krzyżeć, ale się nie ruszyła. Była już na skraju wyczerpania. Z szaleńczo rozbieganymi oczyma, nerwowo gwizdała przez zęby. Powoli, powoli się uspokajała. Była przytomna. Lafargue ostrożnie wziął ją na ręce i położył do łóżka. Siedział obok, trzymał ją za rękę, gładził po czole, całował policzki. Lekarz nadal stał w drzwiach z dłońmi w kieszeniach fartucha. Wreszcie



podszedł i wziął Richarda za ramię.

– Chodźmy – powiedział – teraz powinna zostać sama.

Poszli do parku.

– To okropne – mamrotał Lafargue.

– Tak... i dlatego nie powinien pan tak często przyjeżdżać. To niczego nie zmieni, a pan tylko jeszcze bardziej cierpi.

– Nie, nie! Muszę przyjeżdżać.

Psychiatra pokiwał głową, starając się zrozumieć, dlaczego Richardowi tak zależy na oglądaniu tego żalosego widoku.

– Będę tu przyjeżdżał – upierał się Lafargue. – A pan musi mnie informować o wszystkim, dobrze?

Głos mu się nagle załamał. Wybuchnął płaczem. Uścisnął lekarzowi rękę na pożegnanie i ruszył do samochodu.

\*

Do domu w Vésinet wracał jeszcze szybciej. Przez całą drogę prześladował go obraz Viviane. Umęczone, zbrukane ciało... Viviane! To wszystko się zaczęło, gdy usłyszał, przerażający krzyk, który przedarł się ponad orkiestrę, i zobaczył Viviane w podartym ubraniu, z zakrwawionymi udami, z oczyma oszalałymi z przerażenia.

Line miała wolne. Z góry dolatywała melodia grana na pianinie. Podszedł do interkomu i wykrzyczał na całe gardło:

– Dobry wieczór! Przygotuj się. Musisz mnie rozerwać.

Głośniki wmurowane w ściany apartamentu zadrgały gwałtownie, nastawione na całą moc. Dźwięk był nie do wytrzymania. Ewa drgnęła. To przekłete nagłośnienie stanowiło jedyną szykanę Lafargue'a, do której nie potrafiła się przyzwyczaić.

Zastał ją pochyloną nad pianinem z rękoma przyciśniętymi do uszu. Stał w progu z radosnym uśmiechem na twarzy i szklanką whisky w dłoni.

Spojrzała na niego przerażona. Doskonale wiedziała, co znaczą te nawracające kryzysy. W ciągu ostatniego roku Viviane miała już trzy napady, podczas których dokonywała samookaleczeń. Richard cierpiał i nie potrafił sobie z tym dać rady. Teraz musiał jakoś ukoić swoje cierpienia. Ewa miała mu pomóc.

– No chodź tu, dziwko!

Podał jej szklankę, a widząc opór, odchylił jej głowę do tyłu i pociągnął za włosy. Musiała wszystko wypić do dna. Chwycił ją za rękę i pociągnął na dół, siłą wepchnął do samochodu.

O dwudziestej weszli do kawalerki przy ulicy Godot-de-Mauroy. Lekkim kopnięciem w plecy pchnął ją na łóżko.

– Rozbieraj się. Szybko!

Otworzył szafę i zaczął wyrzucać ubrania na podłogę. Ewa stała naga przed nim i cicho płakała. Podał jej skórzaną spódnicę, skórzany gorset i kozaczki. Kiedy skończyła się ubierać, ręką wskazał telefon.

– Zadzwoń do Varneroya!

Ewa drgnęła z odrazą, ale Richard był nieugięty. Ujęła słuchawkę i wybrała numer. Po chwili odezwał się Varneroy. Natychmiast rozpoznał jej głos w słuchawce. Richard cały czas stał przy Ewie, gotowy uderzyć za najmniejszy sprzeciw.

– Droga Ewo – w słuchawce odezwał się nosowy głos – już się pozbierałaś po naszym ostatnim spotkaniu i potrzebujesz pieniędzy? Jak to miło, że zadzwoniłaś do staruszka Varneroya!

Umówiła się z nim. Rozradowany oznajmił, że zjawi się za pół godziny. Varneroy był świrem, którego Ewa poderwała którejś nocy na Bulwarze Kapucynów, w czasach kiedy Richard zmuszał ją jeszcze do łapania klientów z chodnika. Zebrała ich wystarczająco wielu, żeby zapłacić karnet na dwa miesiące. Dzięki temu Lafargue mógł zawsze wybrać sposób, w jaki ją poniży.

– Postaraj się stanąć na wysokości zadania – zakpił i zniknął za drzwiami. Wiedziała, że będzie ją obserwował przez lustro w sąsiednim mieszkaniu.

To, co jej robił Varneroy, nie pozwalało na zbyt częste spotkania. Ewa dzwoniła więc do niego jedynie w chwilach ataków Viviane. Varneroy doskonale rozumiał, kiedy Ewa ma dość; kiedy krzyczała, żeby przestał, faktycznie przestawał i zostawiał jej numer, pod którym mogła go znaleźć, gdyby ponownie nabrała ochoty na uleganie jego kaprysom.

Pojawił się ogromnie radosny. Był to uprzejmy pan z dużym brzuchem i różową twarzą. Zdjął kapelusz, starannie powiesił marynarkę i ucałował Ewę w oba policzki, a potem wyjął torbę z pejczem.

Richard przyglądał się tej scenie z zadowoleniem. Dłonie miał zaciśnięte na poręczy fotela, twarz mu drgała nerwowymi tikami.

Ewa wykonywała tymczasem groteskowy taniec według wskazówek Varneroya. Pejcz strzelał miarowo, a Richard klaskał w dłonie, śmiejąc się jak wariat. Nagle ogarnęło go obrzydzenie, nie mógł znieść tego dłużej. Cierpienie Ewy należało do niego, on wyznaczał granice. Teraz niespodziewanie poczuł litość. Rechocząca gęba Varneroya wstrząsnęła nim tak głęboko, że pędem wpadł do kawalerki.

Varneroy był zdumiony, zastygł w bezruchu z uniesioną ręką. Lafargue wyrwał mu pejcz z dłoni, złapał za kołnierz i wypchnął na korytarz. Świrowi rozszerzyły się oczy ze zdumienia. Niczego nie rozumiał. Wciąż nie mogąc wydobyć z siebie głosu, pędem zbiegł po schodach, nie czekając na resztę swoich rzeczy.

Richard podniósł Ewę z ziemi i pomógł jej się umyć. Ubrała się ponownie w sweter i dzinsy, w których ją zastał, kiedy przyszedł wrzeszczeć przez interkom.

Bez słowa zabrał ją do domu, rozebrał i położył do łóżka. Delikatnie przemył jej rany i zaparzył herbatę. Tulił Ewę i poił drobnymi łykami. Potem przykrył ją kołdrą i gładził po włosach. W herbacie rozpuścił środek nasenny, więc Ewa wkrótce zasnęła.

Wyszedł do ogrodu. Na stawie łąbędzie spały wtulone w siebie. Podziwiał ich spokój, zazdroszcząc jednocześnie tej bezgranicznej wzajemnej ufności. Gorące łyzy ciekły mu po twarzy. Wydostał Ewę z rąk Varneroya i wreszcie zrozumiał, że uczucie litości – bo tak nazywał – całkiem wyparło jego poprzednią nienawiść. Nienawiść, która nie miała granic i zahamowań. A nienawiść stanowiła jedyny powód, dla którego chciał jeszcze żyć.

\*

*Tarantula często grał z tobą w szachy. Długo rozważał wszystkie warianty, zanim wreszcie wykonał jakiś ruch, którego w życiu byś się nie spodziewał. Czasami improwizował ataki, nie przejmując się ochroną flank. Impulsywnie, ale zawsze bezbłędnie.*

*Któregoś dnia zdjął ci łańcuchy, a zamiast ceraty służącej za legowisko wstawił kanapę. Spałeś na niej, wylegiwałeś się całymi dniami, rozciągnięty wśród aksamitnych poduszek. Ale ciężkie drzwi do piwnicy były przez cały czas dokładnie zamknięte.*

*Tarantula przynosił ci słodycze, papierosy, interesował się twoimi upodobaniami muzycznymi. Wasze rozmowy robiły się swawolne. Taka światowa paplanina. Wstawił nawet magnetowid i przynosił filmy, które oglądaliście wspólnie. Parzył ci herbatę, ziółka, a kiedy wyczuwał, że naszła cię chandra, otwierał szampana. Gdy tylko miałeś pusty kieliszek, on go zaraz napelniał.*

*No i nie byłeś już całkiem nagi. Tarantula podarował ci haftowany szal. Wspaniały prezent był w równie wspaniałym opakowaniu. Swoimi długimi palcami odwijaleś papier... Ten prezent sprawił ci wielką przyjemność.*

*Otulony szalem leżałeś na kanapie, paląc amerykańskie papierosy lub ssąc miodowe cukierki, czekałeś na codzienną wizytę Tarantuli, który nigdy teraz nie zjawiał się z pustymi rękoma.*

*Jego hojność zdawała się nie mieć granic. Pewnego dnia otworzył szeroko drzwi do piwnicy i z trudem wepchnął do środka olbrzymi pakunek na kółkach. Uśmiechał się spoglądając na błyszczący papier opakowania, różową wstążkę i bukiet kwiatów...*

*Widząc twoje zdziwienie, przypomniał ci datę: dwudziesty drugi lipca. Tak, byłeś jego więźniem od dziesięciu miesięcy. Skończyłeś właśnie dwadzieścia jeden lat... Obchodziłeś wielką skrzynię wokół z zachwytem. Tarantula osobiście pomagał ci odwiązać wstążkę i papier. Wiedziałeś, co jest w środku – pianino! Steinway!*

*Usiadłeś na taborecie, przez chwilę rozcierałeś palce i zacząłeś grać. Nie wiedziałeś czemu, płakałeś z radości.*

*I to ty, Vincent Moreau, oswojone zwierzę tego monstrum, piesek Tarantuli, jego małpka lub papużka, ty, którego bezlitośnie złamał... właśnie ty pocałowałeś go w rękę z wdzięcznością.*

*Wtedy spoliczkował cię po raz drugi.*

\*

Alex śmiertelnie się nudził w swojej kryjówce. Wsypany za wszystkie czasy, z zapuchniętymi oczyma całymi dniami wpatrywał się w telewizor. Wołał nie myśleć o przyszłości i starał się zawsze być czymś zajęty. Inaczej niż w czasie pobytu na wsi, teraz wciąż sprzątał i pedantycznie zmywał naczynia. Wszystko wokół lśniło sterylnością.

czystością. Godzinami froterował posadzkę i szorował garnki.

Zabliźnianie się rany powodowało niekiedy denerwujące swędzenie, ale udo już prawie nie bolało. Zamiast bandaży nosił teraz zwykły plaster z opatrunkiem.

Dziesiątego dnia pobytu w kryjówce wpadł na genialny pomysł. Oglądał wtedy mecz piłki nożnej w telewizji. Sport nigdy go nie interesował z wyjątkiem karate. Jedynymi gazetami, które czytał, były specjalistyczne czasopisma poświęcone sportom walki. Tym razem śledził wędrówkę okrągłej piłki po boisku i kopiących ją graczy... Wino, które powoli sączył, i widok toczącej się gry na boisku były nieco usypiające i kiedy mecz dobiegł końca, nie chciało mu się nawet wstać, żeby wyłączyć telewizor. Następny program poświęcony był chirurgii plastycznej.

Komentator opisywał zabiegi liftingu twarzy. Potem przeprowadzono wywiad ze sławnym profesorem Lafargue'em. Alex słuchał z zaciekawieniem.

– Następny etap nazywał „skrobaniem” okostnej – tłumaczył Lafargue, posługując się rysunkiem. – To ważny etap. Celem jest, jak to widać na rysunku, umożliwienie okostnej przyrośnięcie do dolnej warstwy skóry i wyścielenia jej...

Na ekranie pojawiły się zdjęcia zmienionych, modelowanych, rzeźbionych i upiększanych twarzy. Pacjenci zmieniali się nie do poznania. Alex uważnie się przysłuchiwał. Irytowało go, kiedy nie rozumiał niektórych sformułowań... Po zakończeniu programu starannie zanotował nazwisko profesora – Lafargue – i nazwę szpitala, w którym pracował.

Zdjęcie w dowodzie osobistym, pieniądze ukryte na strychu... Alexowi to wszystko powoli zaczęło się układać w całość.

Facet z telewizora twierdził, że poprawienie nosa jest prostym zabiegiem, podobnie jak resorpcja tkanki tłuszczowej w niektórych częściach twarzy... Zmarszczki? Skalpel mógł je zlikwidować jak gumka kreski zrobione ołówkiem.

Alex pobiegł do łazienki i spojrzął w lustro. Dotykał twarzy. Za gruby nos. Policzki zbyt pulchne, podwójny podbródek...

To banalnie proste! Lekarz mówił o dwóch tygodniach – w ciągu dwóch tygodni modelowano twarz. Można wszystko wytrzeć i narysować od nowa. Tylko że to nie takie proste. Alex był przecież bandytą poszukiwanym przez policję... Trzeba jakoś przekonać tego lekarza do operacji. Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby go zmusić do przeprowadzenia operacji, leczenia, a potem do trzymania języka za zębami. Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby go do tego zmusić... Może Lafargue ma dzieci albo żonę?

Im dłużej Alex o tym myślał, tym bardziej pomysł mu się podobał. Przestałby być zależny od legionisty, gdyby udało mu się zmienić twarz. Policja latałaby za duchem, jakimś nieistniejącym Alexem Barnym. Byłoby mu o wiele łatwiej uciec za granicę.

Tej nocy w ogóle nie zasnął. Wstał bladym świtem, uwinął się szybko z poranną toaletą, przyszytył włosy i starannie wyprasował garnitur oraz koszulę, które zabrał ze wsi. Citroen CX czekał w garażu...

*Tarantula był wspaniały. Jego wizyty trwały coraz dłużej. Przynosił ci gazety i często jadał z tobą posiłki. W piwnicy panował potworny upał – była połowa sierpnia – a on zainstalował lodówkę, którą codziennie zapelniał sokami owocowymi. Twoja garderoba powiększyła się o leciutki szlafrok i kapcie bez pięt.*

*Jesienią zaczął ci robić zastrzyki. Codziennie wchodził ze strzykawką w rękę. Kazał ci się kłaść na kanapie, odsłonić pośladki i wtedy wbijał igłę. Widziałeś przezroczysty płyn o lekko różowym odcieniu, który co wieczór wpuszczany był do twego organizmu.*

*Tarantula bardzo uważnie robił te zastrzyki, ale za każdym razem bolało. Potem ból mijał.*

*Nie pytałeś, po co to wszystko. Cały czas malowałeś i grałeś na pianinie. Byłeś pochłonięty tymi artystycznymi zajęciami.*

*Robiłeś szybkie postępy w grze na pianinie. Tarantula wciąż szukał w księgarniach coraz to nowszych utworów na fortepian. Piwnica była wypełniona podręcznikami i książkami o sztuce, które stanowiły dla ciebie skarbnicę wiedzy.*

*Pewnego dnia powiedziałeś mu o przezwisku. Zrobiłeś to przy jakimś wspólnym posiłku. Szampan zaszumił ci w głowie. Zaczerwieniony i zawstydzony, lekko bełkocząc, wyznałeś mu swoją winę – wyraźnie podkreśliłeś, że to twoja wina – ale on wyrozumiale tylko się uśmiechnął.*

*Zastrzyki nie ustawały. To była jedyna, ale jakże drobna niedogodność w twoim próżniaczym życiu.*

*Na dwudzieste drugie urodziny dostałeś mebel. Reflektor zastąpiła lampa z ładnym abażurem, dająca łagodne światło. Do kanapy dołączyły fotele, niski stolik, pufy. Gruby dywan przykrył posadzkę.*

*Już jakiś czas temu Tarantula zainstalował w rogu piwnicy składany prysznic, turystyczną umywalkę i sedes ze spluczką. Pomyślał nawet o zainstalowaniu zasłonki przy ustępie, szanując twoją prywatność. Nie podobał ci się kolor ręczników. Tarantula je zmienił.*

*Zamknięty w piwnicy śniłeś o otwartej przestrzeni i wietrze. Oszukując sam siebie, namalowałeś na ścianie okna. Po prawej stronie góry skąpane w słońcu i biel wiecznych śniegów zdobiących szczyty. Halogenowa lampa odbijała się oślepiającym blaskiem od tych śnieżnych czap będących nieporadnym kłamstwem, że patrzy się na świat zewnętrzny. Po lewej stronie widniały błękitne fale imitujące spienione morze. W głębi wyjątkowo udatnie oddałeś ognisty blask zachodzącego słońca. Ten krajobraz napelniał cię zasłużoną dumą.*

*Oprócz zastrzyków Tarantula faszerował cię wieloma lekarami – były to pastylki w rozmaitych kolorach, proszki bez smaku, ampułki do picia. Wszystkie etykiety z opakowań były poodrywane. Zapytał, czy cię to niepokoi. Wzruszyłeś ramionami i odparłeś, że masz do niego zaufanie. Poglaskał cię pieszczotliwie po policzku. Wtedy złapałeś go za rękę, żeby ją pocałować. Zesztywniał i przez chwilę sądziłeś, że znowu cię uderzy, ale jego rysy złagodniały i pozwolił ci na to.*

*Odwróciłeś głowę, by nie widział łez radości, które pojawiły się w twoich oczach.*

*Przez ciągłe przebywanie w sztucznym świetle twoja cera stała się zbyt blada,*

więc Tarantula zainstalował łóżko opalające. Byłeś szczęśliwy, widząc, jak twoje ciało nabiera pięknego odcienia miedzi. Z dumą pokazywałeś je swojemu przyjacielowi.

Mijały dni, tygodnie, miesiące pozornie monotonne, a w rzeczywistości bogate w różnorodne i intensywne przeżycia. Granie na pianinie lub malowanie dawało ci wiele radości.

Popęd seksualny wygasł w tobie zupełnie. Bardzo zażenowany spytałeś o to Tarantulę. Wyznał ci, że twoja żywność zawiera odpowiednie składniki, byś – jak mówił – nie cierpiał pozbawiony kontaktu z kimkolwiek innym niż on. Tak... świetnie to rozumiałeś. Przyrzekł, że wkrótce zmieni ci dietę i znów zaczniesz odczuwać popęd płciowy.

Nocami, leżąc samotnie na kanapie, czasami pieściliś swój sflaczały penis. Już nie odczuwałeś złości. Skoro Tarantula ci obiecał, nie musiałeś się martwić.

## 4

Alex jechał do Paryża z duszą na ramieniu. Starał się nie popełnić żadnego wykroczenia. Myślał nawet o tym, żeby używać wyłącznie autobusu i metra, ale to był zły pomysł. Lafargue przecież na pewno poruszał się samochodem, a on musiał go śledzić.

Zaczął się przed wejściem do szpitala. Było bardzo rano. Nie sądził, żeby lekarz zjawiał się w pracy bladym świtem, ale wolał wcześniej rozpoznać teren i się z nim oswoić. Na murze obok bramy wjazdowej wisiała wielka tablica informująca o oferowanych usługach. Znajdowało się tam nazwisko Lafargue'a.

Alex przechadzał się ulicą, zaciskając w kieszeni dłoń na kolbie policyjnego rewolwera. Wreszcie zasiadł na tarasie kafejki naprzeciw wejścia do szpitala, które mógł stąd obserwować.

Około dziesiątej rano tuż obok niego zatrzymał się na czerwonym świetle mercedes prowadzony przez kierowcę. Alex rozpoznał Lafargue'a. Siedział na tylnym fotelu i czytał gazetę. Mercedes odczekał na zmianę świateł i wjechał w alejkę prowadzącą na szpitalny parking. Lafargue wysiadł. Szofer został w samochodzie, ale zaczynało się robić coraz bardziej gorąco, więc poszedł do kafejki na taras. Zamówił piwo. Tego dnia jego szef miał przeprowadzić poważną operację i po niej miał jechać do kliniki w Boulogne, gdzie się umówił na spotkanie. Początkowe cyfry numeru rejestracyjnego samochodu Lafargue'a – 78 – oznaczały Yvelines. Alex znał na pamięć wszystkie numery departamentów występujące na tablicach rejestracyjnych. Nudząc się na wsi, często dla zabawy recytował je w różnej kolejności. Kiedy czytał w gazecie, że jakiś osiemdziesięcioletni staruszek powtórnie się ożenił, pojawiało mu się natychmiast skojarzenie z numerem rejestracyjnym – 80 to departament Somme.

Szofer sprawiał wrażenie, że mu się nie śpieszy. Rozwiązywał krzyżówkę. Alex zapłacił rachunek i poszedł na pobliską pocztę. Nie widział stamtąd bramy wjazdowej, ale musiałby mieć prawdziwego pecha, żeby lekarz ulotnił się akurat w ciągu tego kwadransa.

Zaczął przeglądać książkę telefoniczną. Lafargue to popularne nazwisko, zajmowało całą stronę. Najwięcej było Lafargue'ów pisanych przez dwa f lub z s na końcu. Pisanych przed jedno f i bez s na końcu było mniej. A lekarzy jeszcze mniej. W departamencie 78 tylko trzech. Jeden mieszkał w Saint-Germain, drugi w Plaisir, trzeci w Vésinet. Któryś z nich był jego Lafargue'em. Alex spisał wszystkie trzy adresy.

Po powrocie do kawiarni stwierdził, że szofer wciąż tam jest. W południe kelner zaczął nakrywać stoliki do posiłku. Musiał znać szofera, bo spytał go, czy

będzie dziś coś jadł.

Roger pokręcił przecząco głową. Dzisiaj szef pędzi do Boulogne zaraz po skończeniu operacji.

I rzeczywiście chirurg pojawił się niedługo potem. Wsiadł do samochodu, a Roger zajął miejsce za kierownicą. Alex podążył za nimi. Wyjechali ze śródmieścia i ruszyli w stronę Boulogne. Śledzenie ich nie było skomplikowane, bo Alex znał z grubsza kierunek jazdy. Roger zaparkował pod kliniką i wrócił do swoich krzyżówek. Alex tymczasem na kawałku papieru zanotował adres kliniki. Nie ufał swojej pamięci.

Oczekiwanie się przedłużało. Alex kręcił się dookoła sąsiedniego skrzyżowania, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Wreszcie siadł na ławce na pobliskim skwerku, nie spuszczać mercedesa z oczu. Drzwi do swojego samochodu zostawił otwarte, żeby móc jak najszybciej ruszyć, kiedy pojawi się lekarz.

Zebranie dotyczące harmonogramu kolejnych operacji trwało ponad godzinę. Richard Lafargue był blady, miał zapadnięte policzki, usta zaciśnięte. Od czasu spotkania z Varneroyem żył jak automat.

Alex kupował papierosy w kiosku, kiedy Roger, spostrzegłszy Lafargue'a w holu przy drzwiach kliniki, otworzył tyle drzwi mercedesa/ Alex pognął do swojego samochodu i ruszył za nimi, pilnując odpowiedniego dystansu. Kiedy się zorientował, że tamci zdecydowanie jadą w kierunku Vèsinet, zjechał na bok. Nie było sensu ryzykować, kiedy adres już miał w kieszeni...

Podjechał tam nieco później. Willa Lafargue'a była imponująca. Otaczający mur zasłaniał ją z zewnątrz. Alex dokładnie obejrzał sąsiednie posiadłości. Na ulicy było pusto i nie chciał długo stać w tym miejscu. Zanotował tylko, że okiennice sąsiedniej willi są zamknięte. Mieszkańcy Vèsinet w sierpniu powyjeżdżali na urlopy. Była godzina szesnasta. Alex zamierzał obejrzeć siedzibę chirurga wieczorem, ale nie miał pojęcia, co robić, zanim się ściemni. Z braku lepszego pomysłu postanowił pójść na spacer do pobliskiego lasu Saint-Germain.

Powrócił do Vèsinet dopiero o dwudziestą pierwszą i zaparkował samochód daleko od ulicy, na której mieszkał Lafargue. Właśnie zapadała noc. Wspiął się na mur sąsiedniego domu, żeby dokładnie obejrzeć ogród Lafargue'a. Siedział okrakiem na murze ukryty w gęstych gałęziach kasztanowca. Z daleka był praktycznie niewidzialny.

Zobaczył staw, drzewa, basen i Lafargue'a, który jadł kolację na zewnątrz w towarzystwie jakiejś kobiety. Alex uśmiechnął się do siebie. To dobry punkt wyjściowy. Może nawet są jeszcze dzieci? Raczej nie... jadłyby przecież z rodzicami. Chyba, że wyjechały na wakacje. A może są małe i już śpią? Lafargue miał około pięćdziesiątki i gdyby miał dzieci, teraz byłyby nastolatkami. Przecież nastolatki nie będą w środku lata kłaść się do łóżka o dziesiątej. Zresztą ani w oknach na parterze, ani na piętrze nie paliły się żadna światła. Tylko lampa ogrodowa rzucała nikły blask na stolik, przy którym siedziała obserwowana para.

Alex zeskoczył na chodnik. Był bardzo zadowolony, ale skrzywił się, bo zaboląta go noga. Świeżo zagojona rana źle zniosła taki skok. Wrócił do samochodu i czekał, aż nastaną zupełne ciemności. Palił nerwowo papierosy, jednego od drugiego. Pod willę podszedł o dwudziestą drugą trzecieści. Ulica wciąż była wyludniona i



tylko w oddali słyszał dźwięk klaksonu.

Przeszedł wzdłuż muru posesji Lafargue'a na końcu chodnika natknął się na skrzynię miejskiego zakładu oczyszczania miasta, w której trzymano łopaty, grabie i inne narzędzia. Po niej wspiął się na mur, dokładnie rozejrzał się po ogrodzie i zeskoczył po drugiej stornie. Przykucnął za kępą krzaków, uważnie nadsluchując. Gdyby był tu pies, to wkrótce powinien go usłyszeć. Żadnego szczekania. Sunął powoli wzdłuż muru, przyglądając się drzewom. Gdzie mógłby się wspiać na górę w razie odwrotu?... Niedaleko sadzawki była sztuczna grota wykonana z betonu, służąca za schronienie dla łabędzi. Stykała się z murem. Alex wypróbował ten stopień. Teraz przedostanie się z powrotem na ulicę było już dziecinnie łatwe. Uspokojony ruszył w głąb ogrodu i minął basen. Lafargue'owie wrócili do domu. Teraz jedynie światło przenikała przez okiennice na pierwszym piętrze.

Dochodziły stamtąd ciche dźwięki pianina. To nie mogła być płyta, bo melodia urywała się nagle i zaczynała od początku. Z drugiej strony domu światło paliło się również w innych oknach. Alex przylgnął do ściany porośniętej bluszczem. Lafargue stał na balkonie i patrzył w niebo. Alex wstrzymał oddech. Minęło dobrych kilka minut, zanim lekarz wrócił do środka i zamknął okiennice.

Alex długo się wahał, czy wejść do domu. W końcu się zdecydował. Chciał mieć ogólne pojęcie o rozkładzie pomieszczeń, zanim przystąpi do akcji porwania żony chirurga.

Dom był wielki i światła świeciły we wszystkich oknach na piętrze. Lafargue musiał mieć własną osobną sypialnię. Alex wiedział jedno – burzuje nigdy nie śpią razem.

Z rewolwerem w dłoni podszedł do drzwi wejściowych i poruszył klamką. Nie były zamknięte na klucz. Ostrożnie je otworzył i powoli wszedł do środka. Wielki pokój, po lewej stronie następny, po prawej jeszcze jeden, za schodami... pewnie pokój tej kobiety.

Taka burzujka nie wstaje wcześniej. Na pewno leniuchuje całymi dniami. Alex postanowił wyczekać do momentu wyjazdu Lafargue'a do pracy, wtedy zaskoczy kobietę we śnie.

Cicho zamknął drzwi wejściowe i opuścił dom. Bezszelestnie pobiegł do stawu, wspiął się na grocie, pokonał mur i znalazł się na ulicy. Wszystko układało się jak najlepiej. Nagle zdał sobie sprawę, że jednak nie wszystko. Co z szoferem? Robił za fagasa Lafargue'a. A jeżeli jest jeszcze pokojówka? To by była katastrofa, gdyby nadzieją się na jakąś sprzątaczkę.

Alex jechał obwodnicą, pilnując wszystkich przepisów ruchu drogowego. Dopiero około północy dotarł do swojej mety w Livry-Gargan.

\*

Następnego dnia wcześniej rano pojechał znowu do Vèsinet. Z niepokojem obserwował dom Lafargue'a, wypatrywał jeszcze jakiegoś domownika. Zamierzał porwać żonę lekarza i go zaszantażować – albo chirurg przerobi mu gębę, albo straci

żonę. Jeśli jednak znajdzie się świadek porwania, jakiś lokaj, pokojówka, ktokolwiek, kto powiadomi policję, cały ten piękny plan weźmie w łeb.

Alex miał szczęście. Line – pokojówka Lafargue'a – wyjechała na urlop dwa dni wcześniej. Z pięciu tygodni urlopu, które rocznie przyznał jej chlebodawca, na trzy tygodnie w lecie jeździła do siostry mieszkającej w Burgundii. Pozostałe dwa tygodnie wykorzystywała zimą.

Tak więc Alex przez cały ranek nie zaobserwował nikogo nowego. Nie do końca przekonany pojechał do Paryża. Postanowił ustalić dokładny rozkład zajęć chirurga. Może nie pracuje codziennie? Jeżeli robi sobie dzień wolny w środku tygodnia, lepiej się o tym dowiedzieć od razu. Chyba najlepiej będzie popytać się w sekretariacie szpitala. Trzeba tylko wymyślić pretekst.

Szofer jak zwykle czekał na szefa w kawiarni naprzeciwko szpitala. Alex zamówił w barze piwo i już się sadził przy stoliku, kiedy zobaczył, że Roger nagle wstaje. Lafargue pojawił się na parkingu i wezwał go do siebie. Wymienili parę słów, po których Roger dał lekarzowi kluczyki od samochodu, a sam niezadowolony, mruczając coś pod nosem, oddalił się w kierunku metra. Alex bezzwłocznie wsiadł do swojego citroena.

Lafargue prowadził jak wariat i wcale nie jechał w stronę Boulogne. Alex z przerażeniem stwierdził, że jadą w kierunku obwodnicy i zjazdów na autostrady.

Perspektywa podążania za lekarzem na dłuższej trasie niezbyt mu się podobała. Gorączkowo rozważał, co się mogło stać. Lafargue musi mieć dzieci, pomyślał. Właśnie. Pewnie są na wakacjach i tylko co otrzymał jakąś pilną wiadomość od nich. Może któreś jest chore i jedzie sprawdzić, co się stało? Bo inaczej dlaczego wyszedłby z pracy wcześniej niż zwykle i jeszcze odprawił kierowcę? A może facet ma kochankę? To możliwe... Ale czy jechałby do kochani ot tak, w środku dnia? Co to może znaczyć?

Lafargue tymczasem slalomem wymijał samochody. Alex trzymał się blisko niego, pocąc się ze strachu na myśl o policji. Wystarczy przecież jakaś rutynowa kontrola... Mercedes wreszcie zjechał z autostrady. Teraz gnali krętą drogą departamentalną, równie szaleńczo. Alex był skłonny odpuścić sobie w obawie przed odkryciem pościgu przez chirurga, ale Lafargue ani razu nie spojrzął w lusterko wsteczne. Viviane znowu miała napad szału. Już drugi w tym tygodniu. Richard wiedział, że wieczorem, gdy wróci do Vèsinet, nie będzie kazał Ewie dzwonić do Varneroya. Po tym, co się stało ostatnio, to już niemożliwe! W jaki sposób więc ma odreagować?

Zaparkował samochód przed wjazdem do zamku. Dyskretna tablica informowała, że mieści się w nim zakład psychiatryczny. Alex podrapał się w głowę bezradnie.

Richard, nie czekając na psychiatrę, od razu poszedł do pokoju Viviane. Czekał go ten sam widok - jego córka w silnych drgawkach usiłowała się okaleczyć. Nie wszedł do środka. Z twarzą przyklejoną do judasza cicho łkał. Przyszedł psychiatrę, sprowadził do na parter. Potem zamknęli się w gabinecie.

– Nie będę już przyjeżdżał – stwierdził Lafargue. – To za dużo dla mnie. Nie wytrzymam. Rozumie pan?

- Rozumiem...
- Ona nie potrzebuje czegoś? Bielizny... nie wiem...
- A czego może potrzebować? Niech pan się weźmie w garść! Pańska córka nigdy nie wyzdrowieje. Niech pan nie myśli, że jestem bezduszny. Musi pan to zaakceptować. Będzie tak wegetować jeszcze długo. Te ataki będą się powtarzały. Możemy ją otumanić środkami uspokajającymi, ale tak naprawdę nie jesteśmy w stanie jej pomóc. Przecież pan o tym doskonale wie. Psychiatria to nie chirurgia. Nie potrafimy jednym cięciem zmienić sytuacji pacjenta, nie mamy tak skutecznych narzędzi jak pan.

Richard uspokoił się nieco i powoli zaczął nabierać dystansu do świata.

- Tak... z pewnością ma pan rację.
- Chciałbym prosić o zgodę na niepowiadamianie pana, gdyby Viviane...
- Zgoda. Proszę już nie dzwonić.

Lafargue wstał, pożegnał się i wsiadł do samochodu. Alex patrzył, jak mercedes odjeżdża, ale nie pojechał za nim. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent chirurg pojedzie do Vésinet, do Boulogne albo do szpitala.

\*

W pobliskim miasteczku Alex poszedł na obiad. Ulice były zapchane straganami. Zastanawiał się, kto się leczy w tej dziurze, w tym wariatkowie. Jeśli to było dziecko Lafargue'a, musiał je bardzo kochać. Rzucił wszystko i jechał taki kawał drogi...

Wreszcie Alex zdecydował. Odstawił ledwo ruszony talerz frytek i poprosił o rachunek. Potem kupił bukiet kwiatów, pudełko czekoladek i wrócił do zakładu dla wariatów.

- Pan z wizytą do chorego? – spytała dyżurna pielęgniarka w recepcji.
- No... tak!
- Nazwisko?
- Lafargue.
- Lafargue?!

Widząc zdumioną minę kobiety, przestraszył się, że zrobił głupstwo. A może któraś z tych pielęgniarek jest po prostu kochanką Lafargue'a?

- Ależ... pan nigdy wcześniej nie był u Viviane!
- Nie. Przyjechałem tu po raz pierwszy... Jestem dalekim kuzynem.

Pielęgniarka przyglądała mu się bawaczo.

- Dzisiaj nie można jej odwiedzać. Nie czuję się dobrze. Pan Lafargue nie uprzedził pana?

- Nie. Miałem być... planowałem tę wizytę od dawna...
- Nic nie rozumiem. To dziwne. Ojciec Viviane był tu niecałą godzinę temu...
- Nie miał mnie jak powiadomić. Od rana jestem w drodze.

Pielęgniarka pokiwała głową i wzruszyła ramionami. Wzięła od niego kwiaty i

czekoladki, położyła je na biurku.

– Później jej to dam. Dzisiaj to nie ma sensu. Proszę za mną.

Wjechali windą na górę. Kiedy doszli do właściwych drzwi, pielęgniarka wskazała mu wizjer. Alex wzdrygnął się na widok Viviane. Leżała w kącie pokoju i oszalałym wzrokiem patrzyła na drzwi.

– Nie mogę pozwolić pana wejść – powiedziała pielęgniarka. – Rozumie pan chyba?

Alex zrozumiał. Dłonie mu się spociły i poczuł mdłości. Spojrzał raz jeszcze na chorą i pomyślał, że chyba już gdzieś ją wiedział. Ale pewnie się myli.

Szybko opuścił szpital. Nawet jeżeli Lafargue kochał tę wariatkę, to na porwanie jej stąd nie ma żadnych szans. Równie dobrze mógłby od razu zgłosić się na policję. Bo niby jak miałby tego dokonać? Zdobyć zamek szturmem? I jak otworzyłby jej pokój? Nie, zakładniczką musi zostać żona Lafargue'a.

Jadąc niezwykle przepisowo, wrócił do Paryża. Bardzo późno dotarł z powrotem do Livry-Gargan.

\*

Nazajutrz rano znów stał na czatach nieopodal willi Lafargue'a. Był spięty, lekko zaniepokojony, ale tak naprawdę nie odczuwał lęku. Przez całą noc wnikliwie rozważał plan, wyobrażając sobie rozmaite konsekwencje związane ze zmianą własnego wyglądu.

Roger pojawił się o ósmej, szedł ze świeżym numerem „L'Equipe” pod pachą. Alex zaparkował jakieś pięćdziesiąt metrów przed bramą wjazdową. Wiedział, że ma przed sobą długie czekanie. Lafargue zwykle jechał do szpitala przed dziesiątą.

O dziewiątej trzydzieści do bramy podjechał mercedes. Roger wysiadł, otworzył bramę, wsiadł, wyjechał, znowu wysiadł i zamknął bramę. Alex z ulgą patrzył, jak Lafargue odjeżdża.

Idealne byłoby zaskoczyć kobietę we śnie. Trzeba działać natychmiast. Dotąd nie zaobserwował innych domowników, ale przecież nigdy nie można być niczego pewnym. Uruchomił silnik i wolno podjechał wprost do wejścia posesji Lafargue'a. Pchnął bramę, bez żadnych przeszkód wszedł do środka i znalazł się w ogrodzie.

Ruszył do domu z ręką zaciśniętą na kolbie rewolweru. Okiennice po prawej stronie były nadal zamknięte. Dopiero teraz Alex spostrzegł ze zdumieniem, że były zamknięte od zewnątrz, jakby spełniały funkcję krat. A przecież to tam poprzednio świeciło się światło, stamtąd dochodziły dźwięki pianina.

Dłużej się nad tym nie zastanawiając, obszedł cały dom dookoła. Znalazł się przed gankiem wejściowym. Głęboko odetchnął i otworzył drzwi. Parter zapamiętał z wczorajszej wizyty. Wielki salon, obok biblioteka, a zarazem pewnie też biuro, pośrodku schody na piętro. Wszedł na nie, trzymając w ręku broń gotową do strzału.

Za drzwiami ktoś nucił piosenkę. Drzwi były pozamykane na trzy rygle. Alexa niezwykle zdumiał ten widok, bo kto to widział, żeby zamykać własną żonę? Lekarz musiał mieć świra... A może to była niezła dziwka i chłop miał powody, żeby jej nie

ufać? Najostrożniej jak mógł odsunął pierwszy rygiel. Kobieta nuciła dalej. Potem drugi i trzeci. A jeżeli drzwi są zamknięte na klucz? Z mocno bijącym sercem nacisnął klamkę. Drzwi nie stawiały oporu, powoli je otworzył. Żaden zawias nie zaskrzypiał.

Kobieta malowała się przed toaletką. Alex przylgnął do ściany, żeby nie zobaczyła go w lustrze. Całkowicie pochłonięta była makijażem. Widział jej nagie plecy, wąską talię, piękny zarys bioder i pośladków. Schylił się, położył rewolwer na dywanie, jednym susem doskoczył i uderzył ją pięścią w głowę.

Zrobił to z dużą wprawą. Kiedy pracował jako wykidajło w nocnych spelunkach Meaux, miał okazję wyćwiczyć ten cios, którym skutecznie uciszał awanturników. Jedno uderzenie i można było spokojnie wywlec delikwenta z lokalu.

Dziewczyna leżała bezwładnie na dywanie. Alex cały się trząsał. Sprawdził nieprzytomnej puls, ale jej nie obmacał. Powstrzymał się - to nie był odpowiedni moment. Zszedł na dół. Znalazł w barku whisky i solidnie łyknął prosto z butelki.

Wyszedł, otworzył bramę i zwalczając uczucie paniki, wjechał samochodem pod ganek. Wbiegł do domu. Kobieta nadal była nieprzytomna. Zakneblował ją taśmą klejącą, związał przygotowaną wcześniej linką i owinął w kołdrę.

Raz jeszcze pociągał z butelki, następnie wziął kobietę na ręce, zniósł do bagażnika, siadł za kierownicą i odjechał. Na ulicy było tylko dwoje starszych ludzi spacerujących z psem. Nie zwracali na niego uwagi.

Ruszył w kierunku Paryża, musiał przejechać miasto z zachodu na wschód, żeby dotrzeć do Livry-Gargan. Nerwowo spoglądał w lusterko wsteczne, ale nikt go nie śledził. Po dotarciu na miejsce wyjął panią Lafargue z bagażnika i nadal zawiniętą w kołdrę zaniósł do piwnicy. Dla większej pewności łańcuchami do roweru przywiązał ją do rury kanalizacyjnej. Zgasił światło i wszedł na górę.

Wrócił po chwili z garnkiem zimnej wody i wylała ją kobiecie na głowę. Zaczęła się miotać, ale była mocno skrepowana linką. Jęczała, bo nie mogła krzyknąć. Alex uśmiechnął się zadowolony, że w ciemnościach nie zobaczyła jego twarzy, więc gdy ją już wypuści, nie będzie mogła nikomu podać rysopisu. Jeżeli w ogóle ją wypuści, bo przecież chirurg będzie znał jego twarz przed operacją i po operacji. Opisze obie twarze, policja sporządzi portret pamięciowy i bez trudu dojdzie, że to twarze Alexa, który zrobił skok na bank i zabił policjanta. Trudno, pomyślał. Najważniejsze to zmusić teraz tego faceta do operacji, potem będę się martwił, co dalej robić. Pewnie trzeba będzie na koniec zabić i ją, i jego.

Szedł po schodach w górę, zadowolony z pomyślnego zakończenia pierwszego etapu planu. Poczekaj teraz do wieczora, kiedy Lafargue wróci do Vésinet i mocno się zdziwi, że jego suki nie ma w domu. Wtedy przez telefon przedstawi mu swoje warunki. Trzeba będzie grać ostro!

Nalał sobie kieliszek wina. A co do tej dziwki, to zamierzał oczywiście ją przelecieć, czemu nie. Warto przecież połączyć przyjemne z pożytecznym.

Cierpliwości, powtarzał sobie. Zamij się najpierw doktorkiem, później pomyślisz o swawolach...

OFIARA

# 1

To jakiś koszmar! Wszystko zaczyna się do nowa... Nic nie rozumiesz albo raczej rozumiesz zbyt dobrze. Tym razem Tarantula chce cię zabić!

Od trzech dni nie odezwał się do ciebie. Przynosił tylko posiłki, ale nawet na ciebie nie spojrzał. Kiedy wpadł do kawalerki, żeby temu wariatowi Varneroyowi odebrać pejcz, замуrowało cię ze zdumienia. Pękał. Po raz pierwszy zlitował się nad tobą. W drodze powrotnej do Vésinet był czuły, troskliwy. Posmarował twoje rany maścią i zaskoczony zobaczyłeś łzy w jego oczach...

A teraz? Rano usłyszałeś, jak wyjeżdżał do szpitala. Potem wrócił bez uprzedzenia, skoczył na ciebie, ogłuszył i proszę! Znowu jesteś więźniem, związanym i porzuconym w piwnicy.

Piekło miało się powtórzyć. To samo piekło, które przeżyłeś cztery lata temu, kiedy złapał cię w lesie.

Teraz na pewno cię zabije. Tarantula oszalał, tym razem naprawdę oszalał. Na pewno Viviane miała znowu kryzys, bo pojechał do Normandii zobaczyć się z nią. I nie mógł tego znieść. Już mu nie wystarcza, że się prostytutujesz. Co wymyśli tym razem?

A przecież bardzo się zmienił w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nie był wcale taki zły. Oczywiście dalej wydzierał się przez ten cholerny interkom, żeby cię denerwować.

Chyba już lepiej umrzeć. Nigdy nie miałeś dość odwagi, żeby odebrać sobie życie. Zupełnie zdusił w tobie chęć buntu. Stałeś się rzeczą! Jego własnością. Niczym!

Często wyobrażałeś sobie ucieczkę. Ale dokąd byś poszedł w takim stanie? Spotkać się z matką, z przyjaciółmi? Alex...? Czy w ogóle by cię rozpoznał? Tarantuli udało się związać cię ze sobą na zawsze.

Masz nadzieję, że to wszystko szybko się skończy. Niech już zrobi z tobą, co chce, ale niech przestanie tobą manipulować!

Dobrze cię związał. Nie możesz zrobić żadnego ruchu. Beton piwnicy obciera ci skórę. Lina wciska ci się w piersi i je ściska. Zaczynają boleć.

Twoje piersi...

Twoje piersi... Zadał sobie tyle trudu, żeby ci wyrosły. Pojawiły się jakiś czas po serii zastrzyków. Z początku nie zwracałeś na nie uwagi. Myślałeś, że po prostu obrastasz tłuszczem z powodu braku ruchu. Ale przy każdej wizycie Tarantula dotykał twej piersi i miał zadowoloną minę. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Dzień po dniu z przerażeniem śledziłeś, jak twój tors się zmienia, twoje piersi robią się coraz większe. Desperacko miętosiliś swój penis, który wciąż był obwisły. Często płakałeś. Tarantula cię uspokajał, że wszystko przebiega bez problemów. Czy brakowało ci czegoś? Czy mógł ci ofiarować jeszcze coś, czego nie miałeś? Był taki dobry i troskliwy.

Przestałeś płakać. Żeby o tym zapomnieć, malowałeś i spędzałeś długie godziny przy pianinie. Ale nic się nie zmieniało. Tarantula przychodził coraz częściej. To było śmieszne. Znaliście się od dwóch lat. Zabił w tobie poczucie wstydu. Na początku nawet przed nim się załatwiałeś, a teraz nie chciałeś mu pokazać swoich piersi. Co chwila poprawiałeś szlafrok, żeby zmniejszyć dekolt. Tarantula kazał ci przymierzyć stanik. Po co? Twoje piersi, twarde i jędrne, nie potrzebowały stanika. Ale tak było ci lepiej. Stanik, jak gorset, sprawiał, że czułeś się pewniej.

Zabije cię. W piwnicy było gorąco. Znowu zaczniesz cię dręczyć pragnieniem. Przed chwilą zmoczył ci głowę zimną wodą, ale nie mogłeś się napić.

Czekasz na śmierć i nic już nie jest ważne. Przypominasz sobie liceum, wioskę, dziewczyny... swojego kumpla Alexa. Nigdy już ich nie zobaczysz. Niczego już nie zobaczysz.

Już się przyzwyczyłeś do samotności. Twoim jedynym towarzyszem był Tarantula. Czasami miałeś napady nostalgii i depresji. Wtedy faszzerował cię środkami uspokajającymi, obsypywał prezentami. Drań! Wszystko po to, żeby cię tu znowu wrzucić...

Na co on czeka? Pewnie planuje coś wyjątkowo okrutnego, jakiś wymyślny sposób zabójstwa... Ciekawe, czy sam cię zabije, czy wyda cię w ręce jakiegoś wariata jak ten Varneroy.

Nie! Przecież nie może znieść myśli, że ktoś inny się do ciebie zbliży i będzie cię dotykać. Sam widziałeś, jak walnął Varneroya, który cię bił pejcem.

A może to wszystko twoja wina? Przecież drażniłeś go ostatnio... Kiedy tylko wchodził do twojego pokoju, siadałeś do pianina i grałeś mu „The Man I Love”, melodię, której nienawidzi. Albo – bo było jeszcze gorsze – prowokowałeś go. Żyje przecież sam od tylu lat. On jest niezdolny do kochania.

Zauważyłeś, że twoja nagość wprawia go w zakłopotanie. Na pewno ma na ciebie ochotę, ale brzydzi się ciebie dotknąć. Cóż! To akurat jest zrozumiałe, ale nie zmienia faktu, że cię pożąda. Zawsze jesteś nago w swoim pokoju. Czasem rozchylasz nogi, ukazując mu wszystko. Wtedy się czerwieni, drga mu grdyka. Tym go doprowadzasz do jeszcze większego obłędu – pożądaniem, które wzbudzasz w nim po wszystkim, co ci zrobił. Pragnie ciebie, choć wie przecież, kim jesteś.

Ile jeszcze czasu każe ci gnąć w tej piwnicy? Za pierwszym razem, kiedy gonił cię i dopadł w lesie, zostawił cię na osiem dni. Osiem dni... O tym powiedział ci dopiero później.

Może gdyby tak nie czuł pożądania, nie mściłby się teraz w taki sposób?



To szaleństwo tak myśleć. Wszystko przez Viviane, która od czterech lat jest wariatką. Im dłużej to trwa, tym bardziej widać, że jej stan jest nieuleczalny. A on nie potrafi się z tym pogodzić. Nie może przyjąć do wiadomości, że jego córka jest tak taką szmatą. Ile ona ma teraz lat? Wtedy miała szesnaście, więc teraz ma dwadzieścia. Ty miałeś dwadzieścia, więc teraz masz dwadzieścia cztery.

Umierać w wieku dwudziestu czterech lat... to nie w porządku. Umierać? Przecież już umarłeś. Dwa lata temu. Wtedy umarł Vincent. Duch, który go zastąpił, nie ma najmniejszego znaczenia.

Lecz nawet jako duch możesz cierpieć w nieskończoność. Nie chcesz, żeby wciąż babrał w tobie. Właśnie! To jest dobre słowo. Masz już po dziurki w nosie jego machinacji, chorych manipulacji. Jak wiele jeszcze musisz znieść cierpienia? Tylko Bóg jeden wie, co on jeszcze może wymyślić. To mistrz tortur.

Cały drzysz. Masz ochotę zapalić. Brakuje ci opium. Wczoraj jeszcze ci dał. Zawsze wieczorem daje, kiedy przychodzi do ciebie. Przygotowuje ci fajkę. To jedna z twoich największych przyjemności. Za pierwszym razem zwymiotowałeś wszystko z odrazą. Ale on się uparł. To było tego dnia, gdy dotarło do ciebie, że naprawdę rosna ci piersi. Zaproponował ci nową płytę na pocieszenie. Wtedy mu pokazałeś swoje piersi. Gardło miałeś tak ściśnięte, że nie mogłeś wykrztusić żadnego słowa. Wyszedł i wrócił po chwili z fajką i tajemniczymi kulkami. To był zatruty podarunek.

Tarantula jest pajakiem z wieloma jadami. Dałeś się przekonać do palenia i odtąd prosiłeś o kolejną porcję, jeśli zapomniał o codziennym rytuale. Twoja odraza do opium z pierwszego dnia poszła w zapomnienie. Któregoś dnia po wypaleniu swojej działki zasnąłeś w jego ramionach. Właśnie smakowałeś ostatnie kłęby dymy wsparty o niego na kanapie. Głaskał cię po policzku. Odruchowo. Jego dłoń sunęła po twojej gładkiej skórze. Nigdy nie miałeś zarostu. Kiedy jeszcze byliście nastolatkami, razem z Alexem czekaliście na pierwszy meszek pod nosem. Alex szybko zapuścił wasy. Najpierw rzadki, potem mu zgęstniały. Ty zarostu kompletnie nie miałeś. Jeden problem mniej dla Tarantuli. Chociaż mówił, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Zastrzyki hormonalne i tak pozbawiłyby cię zarostu. Robiłeś sobie wyrzuty, że tak idealnie pasowałeś do celu, który sobie wyznaczył. Wszystkiemu winien ten twój – jak mawiał Alex – piękny pysk godny panienki...

I właśnie to twoje tak delikatne szczupłe ciało doprowadziło Tarantulę do szaleństwa. Któregoś wieczoru zapytał cię, czy też jesteś homoseksualistą. Żle zrozumiałeś to jego „też”. Nie, nie byłeś homoseksualistą. Nie żebyś czasem o tym nie pomyślał, ale tak naprawdę nigdy cię to nie pociągało. Tarantula też nie był. Tak przynajmniej myślałeś, dopóki nie zaczął cię obmacywać. Ale pomyliłeś macanie z badaniem. Wtedy byłeś jeszcze przykuty łańcuchem do ściany, to było na początku twojej niewoli. Nieśmiało dotknąłeś go dłonią, a on cię spoliczkował.

Zamurowało cię. Po cóż innego miałby cię więzić? Musiał chcieć zrobić z ciebie zabawkę seksualną. Tylko tak potrafiłeś wytłumaczyć sobie wszystko, przez co przeszedłeś. To musi być pieprzony pedzio, myślałeś. Zboczeniec, któremu zachciało się mieć oswojonego chłopczyka. Najpierw dostałeś szału na samą myśl, a potem powiedziałaś sobie: Co tam, będę udawał! Niech robi ze mną, co mu się podoba. Któregoś dnia i tak ucieknę. Wrócę z Alexem i razem rozwalimy mu tę jego mordę!

Ale powoli, wbrew sobie, zacząłeś grać w zupełnie inną grę. Tę, której zasady ustalał Tarantula. W kotka i myszkę... Cierpienie – prezent, zastrzyki – pianino, Vincent – Ewa!

\*

Lafargue był zmęczony. Przeprowadził wielogodzinną operację poparzonego dziecka, skórę trzeba było przeszczepiać kawałek po kawałku.

Po wyjściu ze szpitala zwolnił Rogera i sam wrócił do Vèsinet. Po drodze zatrzymał się w kwaciarni, żeby odebrać okazałą wiązanę.

Kiedy zbliżał się do domu, zobaczył, że brama i drzwi wejściowe są otwarte. Wbiegł na piętro, tam zastał drzwi do apartamentów Ewy również szeroko otwarte. Kwiaty wypadły mu z ręki. Koło pianina leżał wywrócony taboret i rozbity wazon. Sukienka i bielizna wały się po podłodze, kołdra znikła, buty na wysokich obcasach leżały obok łóżka, jeden obcas był ułamany.

Może tu był dostawca? Line mogła przed wyjazdem na urlop złożyć zamówienie w sklepi. No dobrze, ale gdzie jest Ewa? Uciekła? Dostawca nie zastał nikogo na dole i Ewa go namówiła, żeby otworzył jej drzwi.

Richard zdenerwowany kręcił się po mieszkaniu. Uciekła naga? Ubranie zostawiła przygotowane do włożenia. A gdzie kołdra? Teoria z dostawcą nie trzymała się kupy. Chociaż rok temu, też w czasie urlopu Line, coś takiego prawie się wydarzyło. Richard wrócił w ostatniej chwili, kiedy Ewa przez zamknięte drzwi błagała dostawcę, żeby ją wypuścił. Richard wytłumaczył mu wtedy, że wszystko jest w porządku, żona cierpi na silną depresję, dlatego musiał zainstalować rygle...

Dla Line i Rogera historia z depresją była całkowicie wiarygodna. Widzieli, że Richard jest bardzo czuły dla Ewy, obsypuje ją prezentami, a od roku coraz częściej razem wychodzili. Bywało, że kolację jedli na parterze, ale zwykle całe dnie Ewa spędzała na górze, grając na pianinie lub malując obrazy. Line sprzątała w jej pokoju, nie czyniąc żadnych komentarzy.

Tak więc nic nie wzbudzało ich podejrzeń. Któregoś dnia Line zdjęła pokrowiec przykrywający na sztalugach nowy obraz Ewy. Zobaczyła portret Richarda przebranego za transwestytę i siedzącego za barem jakiejś knajpy. Wytłumaczyła sobie wówczas, że ta kobieta ma mocno pomieszane w głowie. Doszła do wniosku, że pracodawca ma dobre serce, opiekuje się chorą w domu, a nie oddaje jej do szpitala, gdzie powinna zostać zamknięta. No bo jak by to wyglądało, że żona profesora Lafargue'a przebywa w szpitalu dla wariatów. Wystarczy, że jest tam już jego córka!

\*

Richard usiadł na łóżku. Był zrozpaczony. Trzymał w dłoniach sukienkę Ewy i z niedowierzaniem potrząsał głową.

Nagle usłyszał dzwonek telefonu. Zbiegł na parter i podniósł słuchawkę. Nie rozpoznał głosu rozmówcy.

– Lafargue? Mam twoją żonę...

– Ile pan za nią chce? Mów pan! Zapłać! – krzyczał łamiącym się głosem.

– Spokojnie, nie tak nerwowo. Nie tego chcę. Na forsie mi nie zależy...

zresztą zobaczymy. Może będziesz mi mógł coś odpalić.

– Błagam pana... proszę powiedzieć, czy ona żyje?

– Oczywiście!

– Proszę jej nie skrzywdzić!

– Bez obaw, nie ruszę jej.

– Co mam zrobić?

– Musimy się zobaczyć, żeby pogadać. – Alex wyznaczył spotkanie jeszcze tego wieczoru o godzinie dwudziestej drugiej przed drogerią na placu Opery.

– Jak pana rozpoznam?

– Nie martw się. Ja rozpoznam ciebie... Przyjedź sam i nie kombinuj. Inaczej ona będzie miała naprawdę ciężki kwadransik.

Richard chciał jeszcze potwierdzić, że przyjdzie, ale połączenie zostało przerwane.

Zrobił to samo, co Alex kilka godzin wcześniej. Wziął butelkę whisky i solidnie łyknął. Zszedł do piwnicy, żeby się upewnić, czy nic nie zginęło. Drzwi były zamknięte na klucz, więc tym nie musiał się martwić.

Co to za facet? Jakiś bandzior, to oczywiste. Dlaczego nie chce pieniędzy? Przynajmniej nie od razu? Zależy mu na czymś innym. Tylko na czym? Nic nie powiedział o Ewie.

Richard na początku, gdy więził Vincenta, bardzo się pilnował, żeby wszystko utrzymać w tajemnicy. Nawet służbę odprawił, Line i Rogera zatrudnił dużo później. Obawiał się, że policja natrafi na trop prowadzący wprost do niego. Rodzice Vincenta nie dawali za wygraną. Wiedział o tym, bo czytał prasę lokalną. Wszystko to były już stare, przebrzmiałe wydarzenia. Dopadł Vincenta w środku nocy, w lesie, zatarł wszelkie ślady, ale nigdy nic nie wiadomo. Sam przecież wniósł skargę z powodu Viviane i ktoś mógłby to powiązać ze zniknięciem Vincenta. Wpadka z powodu jakiegoś kretyńskiego przypadku wciąż była możliwa. Jednak mijały miesiące, potem rok, dwa, a teraz już pewnie cztery. Sprawa przycichła i chyba została zapomniana.

Gdyby ten facet wiedział, kim jest Ewa, nie gadałby takich głupot. Nie mówiłby, że to jego żona. Lafargue pokazywał się niekiedy z Ewą, ale wszyscy brali ją za jego młodą kochankę... Od czterech lat nie utrzymywał żadnych kontaktów z przyjaciółmi, którzy jego odsunięcie się od towarzystwa kładli na karb choroby Viviane.

– Biedny Richard! – mówili. – Znowu spadło na niego nieszczęście. Żona zginęła w katastrofie lotniczej, potem córka wylądowała w szpitalu psychiatrycznym. Biedaczysko...

Ludzie, którym przedstawiał Ewę, to byli koledzy z pracy, lekarze jak on. Nikogo nie dziwiło, że czasem na przyjęcia przychodzi z kochanką. Towarzyszące im pomruki zachwytu pod adresem Ewy napępniały go zadowoleniem i dumą z powodów... własnych zawodowych ambicji.

Ten bandzior nie wiedział nic na temat Vincenta. Więc o co mu chodzi?

\*

Wcześniej na miejsce spotkania przyszedł Lafargue. Dreptał po chodniku, potrącany przez ludzi wchodzących i wychodzących z drogerii. Co kilkadziesiąt sekund spoglądał na zegarek. Wreszcie pojawił się Alex. Podeszedł dopiero wtedy, gdy się upewnił, że lekarz jest sam.

Richard przyglądał się jego kanciastej, brutalnej twarzy.

– Masz samochód? – zapytał Alex.

Lafargue ruszył do zaparkowanego nieopodal mercedesa. Alex kazał my siaść za kierownicą. Wyjął rewolwer z kieszeni i położył sobie na kolanach. Richard obserwował go kątem oka. Z początku Alex niewiele mówił. Zadowalał się krótkimi instrukcjami.

– Prosto. W lewo. W prawo.

Jechali długą trasą przez cały Paryż – od placu Zgody, przez bulwary, od Bastylli po plac Gambetty. Przez cały czas Alex zerkał we wsteczne lusterko. Kiedy się upewnił, że Richard nie powiadomił policji, zdecydował się mówić.

– Jesteś chirurgiem?

– Tak. Prowadzę oddział chirurgii plastycznej w...

– Wiem. Masz również klinikę w Boulogne. Twoja córka jest stuknięta i zamknęła ją w domu wariatów w Normandii. Widzisz, wiem wszystko... A twoja żona jest całkiem, całkiem. Na razie przywiązałem ją do kaloryfera w piwnicy. Tak więc lepiej się mnie słuchaj, jeżeli chcesz jeszcze żonkę zobaczyć. Widziałem cię któregoś dnia w telewizji.

– Miesiąc temu udzielałem wywiadu – potwierdził Richard.

– Gadałeś o tym, jak zmieniasz nosy, wyglądasz pomarszczoną skórę staruchów i takie tam...

Richard teraz pojął. Westchnął. Temu facetowi nie chodziło o Ewę, lecz o niego.

– Policja mnie szuka – mówił Alex dalej. – Kropnąłem gliniarza. Jeśli nie zmienię gęby, jestem skończony. Ty się tym zajmiesz. W telewizji gadałeś, że to nie trwa długo. Jestem sam. Nie mam współników i nie mam już nic do stracenia. Jeżeli zawiadomisz gliny, twoja żona zdechnie z głodu w piwnicy. Nie próbuj mnie wykiwać. Nie mam nic do stracenia. Powtarzam ci jeszcze raz. Będę się mścił na niej. Jeżeli mnie wydasz, nigdy nie powiem glinom, gdzie ją ukryłem, i zdechnie z głodu. To niezbyt piękna śmierć...

– Rozumiem i zgadzam się.

- Na pewno?
- Oczywiście, jeśli tylko obieca pan, że nie zrobi jej krzywdy.
- Kochasz ją, co?
- Tak – odparł Richard zmienionym głosem.
- Jak to załatwisz? Wsadzisz mnie do swojej kliniki... nie... lepiej do szpitala.

Richard mocno zaciskał dłonie na kierownicy. Musiał jakoś przekonać tego typa do przyjazdu do Vèsinet. Facet ewidentnie jest z tych, co nie wymyślą prochu. Naiwność jego żądania mówiła sama za siebie. Nawet przez myśl mu nie przyszło, że kiedy tylko dostanie się w ręce anestezjologa, można będzie zrobić z nim wszystko. To jakiś kretyn. Zwyczajny kretyn! Myśli, że się wywinie. Śmieszne. Teraz tylko trzeba go nakłonić do pobytu w Vèsinet. W szpitalu Lafaruge nic nie mógł zrobić i kretyński plan tego typa mógłby się powieść. Bo przecież za żadne skarby świata nie może zawiadomić policji...

– Proszę posłuchać – zaczął Richard. – Takie operacje planuje się z dużym wyprzedzeniem. Wcześniej się przeprowadza wiele badań. Czy pan mnie rozumie?

- Nie bierz mnie za idiotę.
- Więc dobrze. Jeżeli pojawi się pan niezarejestrowany w szpitalu, zaczną się plotki i domysły. Wszystkie zabiegi są uzgadniane wcześniej. Mamy plan badań...
- Nie ty o tym decydujesz? – zdziwił się Alex.
- Ja. Ale jeżeli policja pana szuka, to im mniej osób pana będzie widziało, tym lepiej. Prawda?

– Jasne. I co z tego?

– Pojedziemy do mnie do domu. Pokażę panu co można zrobić z pańskim nosem, ma pan również podwójny podbródek, który też możemy skorygować...

Alex zgodził się, chociaż pozostał nieufny. Wydawało się, że wszystko gładko przebiega – lekarz ma cykora o swoją żonkę.

Po przyjeździe do Vèsinet Richard poprosił Alexa do gabinetu, usadził go w fotelu. Odnalazł w archiwum zdjęcie mężczyzny trochę podobnego. Białym flamastrem zamazał nos, po chwili czarnym flamastrem obrysował nowy kontur. Alex przyglądał się zafascynowany. Później Lafargue zrobił to samo z podwójnym podbródkiem. Następnie naszkicował szybko podobiznę Alexa z profilu i en face, a potem jeszcze raz, ale z uwzględnieniem poprawek.

– Super! Jeżeli uda ci się to zrobić ze mną naprawdę, nie musisz się obawiać o żonę... – Alex chwycił rysunki i podarł je na strzępy. – Nie masz chyba zamiaru przekazać gliniarzom mojego portretu, co?

– Niech pan nie będzie śmieszny. Zależy mi tylko na Ewie.

– Ma na imię Ewa? Dobrze... i tak się zabezpieczę...

Lafargue nie miał złudzeń. Facet postanowił zabić go zaraz po operacji. A co do Ewy...

– Nie traćmy czasu. Muszę zrobić szereg badań, zanim będę mógł przeprowadzić operację. W piwnicy mam nieduże ambulatorium. Możemy się tym zająć od razu.

– Tutaj? – Alex uniósł brwi ze zdziwienia.

– Ależ oczywiście. – Richard się uśmiechnął. – Często muszę pracować poza

szpitalem.

Poszli do piwnicy. Były tam liczne drzwi prowadzące do różnych pomieszczeń. Lafargue otworzył jedne, zapalił światło i wszedł do środka. Alex wszedł za nim i wybałuszył oczy ze zdumienia. Zobaczył długi rząd stołów zastawionych mnóstwem przyrządów, oszkloną szafkę z instrumentami chirurgicznymi. Z rewolwerem w dłoni obszedł całość tego domowego bloku operacyjnego.

Zatrzymał się przed stołem operacyjnym, uważnie obejrzał lampy, wziął do ręki maskę do narkozy. Obok stały wielkie szklane gaśniory. Nie miał zielonego pojęcia, co mogły zawierać.

– Co to jest? – spytał zaciekawiony.

– No... laboratorium!

– Chyba nie operujesz tu ludzi? – Alex wskazał stół i lampę. Z grubsza rozpoznawał wyposażenie pokazywane w reportażu telewizyjnym.

– O nie! Ale wie pan, czasami musimy przeprowadzić doświadczenia... na zwierzętach.

Richard Lafargue czuł, jak pot spływa mu po czole, serce biło mu jak szalone, lecz starał się nie okazywać strachu.

Alex kiwnął głową z niedowierzaniem, ale to musiała być prawda. Wiedział, że lekarze robią mnóstwo doświadczeń z małpami i innymi zwierzętami...

– W takim razie po co mam iść do kliniki? Jeśli masz tu wszystko, o trzeba, możesz wszystko załatwić tutaj, prawda?

Richardowi trzęsły się ręce, więc schował je do kieszeni.

– Widzę, że nie jesteś pewien. W czym problem? – zapytał Alex.

– Nie wiem. Chyba brakuje mi jednego czy dwóch lekarstw.

– Ile czasu będę musiał leżeć w łóżku po operacji?

– Niedługo. Jest pan silny, młody, a to nie jest operacja szczególnie wyczerpująca organizm.

– I będę mógł od razu zdjąć opatrunki?

– O nie! Trzeba odczekać przynajmniej osiem dni.

Alex obchodził całe pomieszczenie, poklepując dłonią kolejne aparaty.

– Nie ma jakiegoś ryzyka, jeśli zrobisz mi tę operację tutaj? – zapytał.

Lafargue rozłożył szeroko ręce i pokręcił przecząco głową.

– Właściwie żadnego – odparł.

– Ale będziesz sam. Jak sobie poradzisz bez pielęgniarki?

– Mogę się zająć wszystkim osobiście. Po prostu wtedy potrwa to nieco dłużej.

Alex wybuchnął śmiechem i klepnął lekarza po plecach.

– Wiesz co zrobimy? Zostanę tu z tobą i jak tylko będziesz gotów, zaczniemy operację... Jutro?

– Dobrze. Jutro, jeżeli pan chce... A kto się będzie zajmował Ewą podczas pana rekonwalescencji?

– Nie łam się, brachu, jest w dobrych rękach...

– Myślałem, że działa pan samotnie.

– Nie. Nie całkiem. Nie łam się. Nic jej nie będzie... Jutro mnie zoperujesz. I

razem spędzimy te osiem dni tutaj. Służąca jest na wakacjach. Zadzwoń jeszcze do kierowcy, żeby jutro nie przychodził... I razem pojedziemy po te lekarstwa, których ci brakuje. Będziesz musiał się zwolnić ze szpitala. No już, chodźmy...

Wyszli z piwnicy na parter. Alex kazał Richardowi zatelefonować do Rogera, a po skończonej rozmowie – iść na pierwsze piętro do pokoi Ewy.

- Twoja żona jest chora? Dlaczego ją zamykasz?
- Ona jest... no... czasami dziwnie się zachowuje...
- Jak twoja córka?
- Podobnie... czasami.

Alex grzecznie powiedział „dobranoc” i zamknął Lafargue'a w apartamencie Ewy. Po sprawdzeniu sąsiednich pokoi wyszedł na spacer do ogrodu. Czas musiał się bardzo dłużyć Ewie w Livry-Gargan, gdzie ją zostawił, poza tym wszystko układało się świetnie. Za dziesięć dni, kiedy zdejmie opatrunki, zabije Lafargue'a i zniknie! Za dziesięć dni Ewa może już nie żyć, ale co go to obchodzi?

Nazajutrz rano obudził Richarda skoro świt. Znalazł go w ubraniu w łóżku. Zrobił śniadanie, które zjedli razem.

- Pojedziemy teraz do kliniki po te lekarstwa, których ci brakuje – ustalił Alex. – Będziesz mnie mógł zoperować po południu.
- Nie. Trzeba najpierw zrobić badania i pobrać krew.
- No tak. Mocz i te inne?
- Dopiero kiedy poznam wyniki, będziemy mogli coś zrobić. Powiedzmy... jutro rano.

Alex był zadowolony. Oceniał, że doktorek sprawia wrażenie pogodzonego z losem. Usiadł za kierownicą mercedesa i pojechali do Boulogne. Wysadził Lafargue'a przed kliniką.

- Tylko nie siedź tam za długo... Nie ufam ci!
- Proszę się nie martwić. Będę tam tylko przez chwilę.

Richard wszedł do swojego gabinetu. Sekretarka mocno się zdziwiła, widząc go tak wcześnie. Poprosił ją o uprzedzenie szpitala, że nie będzie go rano na obchodzie. Potem pogrzebał w szufladach i wziął jakieś dwie ampułki, które tam leżały. Po chwili zastanowienia postanowił wziąć jeszcze pudełko ostrzy do skalpeli. Pomyślał, że taki drobiazg zrobi na bandziorze dobre wrażenie i jeszcze bardziej uspi jego podejrziwość.

Kiedy wrócił do samochodu, Alex starannie przeczytał etykiety na ampułkach, zajrzał do pudełka i ostrożnie umieścił wszystko w schowku na rękawiczki. Po powrocie do Vèsinet od razu zeszli do laboratorium w piwnicy. Lafargue pobrał krew. Pochylony nad mikroskopem udawał, że dokładnie ogląda próbkę, dodając losowo różne odczynniki. Następnie przepytął Alexa dokładnie o wszystkie przebyte choroby.

Alex był w siódmym niebie. Dokładnie obserwował Lafargue'a, a nawet sam popatrzył przez mikroskop.

- W porządku – stwierdził Richard – wszystko w porządku. Nie musimy czekać do jutra. Jest pan zupełnie zdrowy. Proszę teraz przez cały dzień wypoczywać i nic nie jeść. Wieczorem mogę pana operować.

Starannie obmacał mu nos i szyję. Alex wyciągnął z kieszeni szkic swojej nowej twarzy.

- Tak będę wyglądał?
- Dokładnie tak – potwierdził Lafargue.

\*

Przez następne kilka godzin Alex wylegiwał się na łóżku Lafargue'a, którego zamknął w pokoju obok. Miał straszną ochotę się napić, ale musiał słuchać zaleceń. O osiemnastej poszedł uwolnić chirurga. Był cały spięty. Zawsze bał się operacji. Richard starał się go uspokoić. Kazał mu się rozebrać. Alex z niechęcią odłożył rewolwer.

- Nie zapominaj o żonce, konowale – mruknął, kładąc się.

Richard zapalił lampę operacyjną. Światło Alexa oślepiło. W chwilę potem pojawił się Lafargue w białym stroju operacyjnym i z maską na twarzy. Alex uśmiechał się nienaturalnie.

- Zaczynamy? – spytał lekarz.
- Zaczynamy. I nie rznij głupa, bo już nie zobaczysz swojej żony.

Richard zamknął drzwi, wziął do ręki strzykawkę i podszedł do stołu.

– Ten zastrzyk pana rozluźni. Potem, za jakiś kwadrans będę musiał podać narkozę.

- Dobra... tylko nie wywiń żadnego numeru.

Igła wbiła się delikatnie w żyłę. Alex zobaczył nad sobą uśmiechnięte oczy chirurga.

- Bez wygłupów... pamiętaj, żadnych wygłupów...

Nagle zapadł w sen. Na moment, zanim stracił przytomność, uświadomił sobie, że coś jest nie tak.

Richard zdjął z twarzy maskę, wyłączył lampę i podniósł bandytę za ramiona. Otworzył drzwi na korytarz i zaciągnął go do sąsiedniego pomieszczenia pod omszałą ścianę. Kanapa, fotele i inne sprzęty wciąż tu były jak wtedy, gdy więził Vincenta. Przykuł Alexa do ściany, skracając kilka ogniw łańcucha. Potem wrócił do laboratorium po wenflon, który wprowadził do żyły na przedramieniu Alexa. Gdy się przebudzi, nawet w kajdankach mógłby się szarpać i uniemożliwić trafienie w żyłę. Ten zdesperowany i ścigany przez policję facet znajdzie w sobie dość siły, żeby wytrzymać klasyczne tortury przez dłuższy czas. Richardowi się śpieszyło. Teraz zaś mógł tylko czekać.

Zdjął bluzę chirurgiczną, rzucił ją na podłogę. Wszedł na górę po butelkę whisky i szklankę. Potem usadowił się w fotelu naprzeciwko Alexa. Podał mu niewielką dawkę środka usypiającego. Więzień powinien się wkrótce obudzić.



## 2

Alex budził się powoli. Lafargue czekał, obserwując go cały czas. Wstał i mocnym uderzeniem w twarz przyśpieszył proces dochodzenia bandziora do przytomności.

Więzień wzrokiem wodził po zagraconej piwnicy, spojrzał na ścienne malunki przedstawiające okno z widokiem na morze i góry. Zaśmiał się sam z siebie. Był skończony, ale i tak nie powie, gdzie trzyma tę dziwkę. Mogą go torturować. Śmierć nie robiła już na nim żadnego wrażenia.

Lekarz obserwował go uważnie, sącząc whisky ze szklanki. Butelka stała obok fotela na podłodze. Co za łajdak! - pomyślał Alex. Dopadł go i teraz śmieje mu się w twarz. Facet ma nerwy ze stali. Niczym się nie zdradził, cały czas blefował... Alex musiał przyznać się przed sobą, że był frajerem.

– Więc tak po prostu – zaczął Lafargue – Ewa jest w piwnicy, przywiązana do kaloryfera. Sama?

– I tak zdechnie. Nigdy się nie dowiesz, gdzie jest! – wybełkotał Alex.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic. Miałem ochotę ją przelecieć, ale wolałem to sobie zostawić na koniec. Pewnie powinienem, co? Ale zauważ, że teraz już nikt jej nie przeleci. Przez co najmniej dwa tygodnie nikt tam nie przyjdzie. Wcześniej zdechnie z głodu i z pragnienia. Przez ciebie. Któregoś dnia zobaczysz może jej szkielet... Czy chociaż dobra była w łóżku?

– Zamilcz! – syknął Lafargue przez zaciśnięte zęby. – Powiedz mi, gdzie ona jest...

– W życiu! Cwaniaczku, możesz mnie porznąć na kawałki. Nic nie powiem. Najwyżej zdechnę! Jeśli ty mnie nie zabijesz, dopadną mnie gliny. I tak jestem skończony. Mam wszystko w dupie!

– Ależ powiesz mi wszystko, biedaku...

Alex plunął mu w twarz. Zorientował się, że jest przykuty do ściany łańcuchem, przedramię ma taśmą samoprzylepną mocno przytwierdzone do ściany, a w żyłę – wenflon.

Zaczął się nagle pocić, szlochać. Złamie go lekarami. Łajdak!

Richard włożył strzykawkę w otwór wenflonu. Powoli wepchnął tłok do końca. Alex wył i próbował się wyrwać. Daremnie.

Tracił świadomość. Czuł, jak jakaś kleista wata powoli zalewa jego myśli.

Szklanymi oczami dostrzegał jeszcze zły uśmiech na twarzy chirurga.

Richard złapał go za włosy i podniósł do góry opadającą bezwładnie głowę.

- Jak się nazywasz?
- Alex Barny...
- Przypominasz sobie moją żonę?
- Tak...

Po zaledwie kilku minutach Alex podał dokładny adres domu w Livry-Gargan.

\*

*Przy samej podłodze można jeszcze złapać odrobinę świeżego powietrza. Przewracasz się z trudem na bok, kładziesz policzek na betonie i rozkoszujesz się tą odrobiną świeżości. Boli cię wyschnięte gardło. Taśma samoprzylepna na ustach wżera ci się w skórę.*

*Otwierają się drzwi i zapala światło. To Tarantula. Biegnie do ciebie. Czemu ma taką przerażoną minę? Bierze cię w ramiona i ostrożnie zrywa taśmę z twoich ust. Potem obsypuje ci twarz pocałunkami. „Moja maleńka” - szeptem. Rozplątuje krępującą cię linkę. Zdrętwiałe członki sprawiają potworny ból, kiedy żywiej krąży w nich krew.*

*Tarantula dalej trzyma cię w ramionach i tuli do siebie. Głaszcze pieszczotliwie po włosach. Podnosi cię z podłogi i wynosi z piwnicy.*

*Nie jesteście w Vèsinet, tylko w jakimś obcym domu. Co to ma znaczyć? Tarantula nogą otwiera drzwi. Wchodzicie do kuchni. Wciąż trzyma cię na rękach, odnajduje szklankę i napełnia wodą. Pijesz powoli, drobnymi łyčkami...*

*Masz wrażenie, że zjadłeś kilogramy pyłu. Ta odrobina wody w ustach... Nigdy nie byłeś tak szczęśliwy jak teraz.*

*Potem Tarantula wnosi cię do jakiegoś marnie umeblowanego salonu, sadza w fotelu, kłeka i kładzie głowę na twoim brzuchu, pieszczotliwie obejmując talię.*

*Czujesz, że uczestniczysz w jakiejś absurdalnej sztuce. Tarantula znika i po chwili pojawia się z kołdrą, która została w piwnicy. Owija cię w nią i wynosi na zewnątrz. Jest noc.*

*Mercedes stoi zaparkowany na ulicy. Tarantula sadza cię obok siebie i rusza.*

*Opowiada ci po drodze idiotyczną historię, zupełnie bez sensu. Ledwo go słuchasz. Jakiś bandzior porwał cię, żeby go szantażować... Biedny Tarantula zwariował, zaczyna wierzyć we własne przedstawienia. Wiesz dobrze, że i tak będzie cię karał cierpieniem. Zatrzymuje samochód na czerwonym świetle, spogląda na ciebie, uśmiecha się i znowu głaszcze cię po włosach.*

*Po powrocie do Vèsinet zanoszą cię do salonu i sadzą na kanapie. Biegnie do twojego pokoju i wraca z peniuaem, znowu znika, wraca z tacą. Jedzenie i picie. Potem daje ci kilka pastylek. Nie wiesz po co, ale to nie ma znaczenia.*

*Zmusza cię do jedzenia. Jogurt, trochę owoców.*

*Oczy same ci się zamykają. Zanoszą cię na piętro, kładzie do łóżka, siada obok i*

trzyma cię za rękę.

*Budzisz się... W pokoju panuje półmrok. Musi być jeszcze bardzo wczesnie. Tarantula jest obok ciebie, siedzi w fotelu. Śpi, a drzwi do pokoju są szeroko otwarte.*

*Nogi dalej cię bolą. Linka była mocno zaciśnięta. Kładziesz się na boku, żeby lepiej widzieć Tarantulę. Zaczynasz myśleć o tej nieprawdopodobnej historii, którą ci opowiedział... Historia z gangsterem? Właśnie! Jakiś uciekający bandzior, który chciał, żeby Tarantula zmienił mu twarz. A ciebie porwał jako zakładnika.*

*Sam już nie wiesz, w co wierzyć... Ponownie zapadasz w sen. Tym razem masz koszmary. Wciąż te same. Tarantula zanoszący się śmiechem. Ty leżysz na stole operacyjnym, nad tobą świeci się wielka, oślepiająca lampa. Tarantula ubrany jest w biały strój chirurgiczny, twarz ma zasłoniętą maską, śmieje się głośno.*

*Ten jego śmiech, odbity tysiąc razy, rozrywa ci bębenki w uszach. Chcesz dalej spać, ale nie wolno ci, musisz wybudzić się z narkozy... wracasz jakby z innego świata, pamiętając szczegóły swoich snów, a Tarantula wciąż się śmieje. Odwracasz głowę w bok i widzisz, że rękę – nie, obie ręce masz przywiązane do stołu. W żyłę w łokciu sączy się kroplówka. Masz zawroty głowy, ale powoli zaczynasz odczuwać potworny ból, nasilający się falami, który rozrywa cię gdzieś w dole, w kroczu. A Tarantula wyje ze śmiechu.*

*Nogi masz szeroko rozchylone i obolałe. Są przywiązane do wysięgników ze stali... jak na fotelach ginekologicznych używanych do... o... o!!! Co za ból w okolicach penisa, promieniuje na cały brzuch. Próbujesz unieść głowę i zobaczyć, co się dzieje, a Tarantula wciąż zanoszą się śmiechem.*

– *Czekaj, pomogę, mój drogi Vincencie...*

*Wziął lusterko, ustawił między twymi nogami i podtrzymywał ci głowę. Niczego nie widzisz. Tylko mnóstwo zakrwawionych opatrunków i dwa cewniki z pojemnikami...*

– *Niedługo zobaczysz lepiej – mówi Tarantula i rechocze radośnie.*

*Tak! Wiesz już, co ci zrobił. Te zastrzyki, rosnące piersi, a teraz to!*

*Kiedy minęło działanie znieczulenia, kiedy wreszcie całkiem odzyskałeś świadomość, zacząłeś wyć jak opętany. Zostawił cię tak, przywiązanego do stołu operacyjnego w piwnicy.*

*Znów wrócił. Pochylił się nad tobą. Chyba już nigdy nie przestanie się śmiać. Przyniósł torcik, malutki, z jedną świeczką. Tylko jedną!*

– *Mój drogi Vincencie, uczymy teraz pierwszą rocznicę kogoś, kogo wkrótce świetnie poznasz – Ewę. Nie masz tam już nic – powiedział, wskazując na twoje podbrzusze. - Nie jesteś już Vincentem, jesteś Ewą.*

*Pokroił torcik, jeden kawałek rozsmarował ci na twarzy. Nawet nie miałeś już siły krzyczeć. Uśmiechając się do ciebie, zjadł drugi kawałek. Potem otworzył butelkę szampana i nalał dwa kieliszki. Wypił swój, drugi wylał ci na głowę.*

– *I co, droga Ewo? Nie masz mi nic do powiedzenia?*

*Pytałeś go, co ci zrobił. Przepchnął stół do drugiego pomieszczenia, w którym poprzednio cię trzymał.*

– *Moja droga, w tym wypadku nie mogłem sfilmować tej operacji. Niemniej ten typ zabiegów jest bardzo popularny, więc wyjaśni ci wszystko film.*

*Włączył projektor. Na ekranie rozwieszonym na ścianie pojawiła się sala*

*operacyjna. Ktoś komentował każdy etap, ale nie był to Tarantula.*

*„Po zakończeniu kuracji hormonalnej, która trwa dwa lata, przystąpimy do zabiegu waginoplastyki. Pacjentem jest pan X, z którym wcześniej przeprowadzaliśmy liczne spotkania.*

Po uśpieniu pacjenta przystępujemy do nacięcia płata żołądzi na długości dwunastu milimetrów, a następnie oddzielamy całkowicie skórę od penisa aż do podstawy. Potem ostrożnie oddzielam pęczek naczyniowo-nerwowy również do podstawy. To samo robimy z grzbietowym pęczkiem naczyniowo-nerwowym. Chodzi tu o oddzielenie zewnętrznych warstw ciała jamistego aż do podstawy penisa”...

Nie mogłeś oderwać oczu od tego spektaklu odgrywanego przez ludzi w rękawiczkach, operujących skalpelami, tnących czyjeś ciało tak samo, jak Tarantula pociął twoje.

„Kolejnym krokiem jest wykonanie nacięcia okołomosznego w odległości trzech centymetrów od odbytu w kierunku penisa i wydobyć pozostałej części penisa przez powstały otwór. Potem kończymy oddzielać skórę i nacinaemy dalej żołądź.

W ten sposób tworzymy nowe ujście cewki moczowej i rozdzielamy ciało jamiste na dwie części”.

Tarantula wciąż się śmiał. Co jakiś czas wstawał, żeby poprawić ostrość obrazu. Wracając, klepał cię po policzku.

„Trzecim etapem jest stworzenie pochwy pomiędzy ujściem cewki moczowej a odbytem. Nacięcie kontrolujemy poprzez wprowadzenie palca do odbytu.

Oto przykład tworzenia pochwy o szerokości czterech centymetrów i głębokości dwunastu, trzynastu centymetrów... Widzimy tutaj zamknięcie zewnętrznej krawędzi nasady penisa i wprowadzenie skóry oddzielonej z penisa do tworzonej pochwy...

Płat żołądziowy jest następnie umiejscawiany na zewnątrz, jako odpowiednik łechtaczki. Skóra moszny, którą zachowaliśmy, służy do uformowania warg sromowych.

Widzą teraz państwo tego samego pacjenta po kilku miesiącach od operacji. Rezultaty są bardzo zadowalające: pochwa jest odpowiedniej wielkości i całkowicie funkcjonalna, łechtaczka sprawna i czuła na bodźce, cewka moczowa w odpowiednim miejscu, drożna, nie powoduje trudności przy oddawaniu moczu.”

Film się skończył. Czujesz swoją mosznę w kroczu, w centrum bólu. Chciałeś oddać mocz. Powiedziałeś to Tarantuli... Podstawił ci basen i dopiero wtedy poczułeś po raz pierwszy to dziwne uczucie zmiany. Po raz pierwszy zrozumiałeś naprawdę, że zmieniłeś płeć. Znowu zacząłeś krzyczeć...

To było potworne. Nie mogłeś zasnąć, więc Tarantula podawał ci środki uspokajające. Któregoś dnia rozwiązał cię i pomógł wstać. Robiłeś małe krocuki, chodząc w kółko. Sączki i pojemniki na ropę dyndały ci między nogami. Tarantula podtrzymywał ci jeden, a drugi wsadził do kieszeni koszuli... Nie miałeś sił. Tarantula zabrał cię z piwnicy i umieścił w małym apartamencie na górze, składającym się z niewielkiej sypialni i pokoju... Światło dzienne cię oślepiło. Po raz pierwszy od dwóch lat opuściłeś swoje więzienie. Słońce znowu grzało ci twarz. To było przyjemne.

Długo dochodziłeś do zdrowia. Najpierw zniknęły sączki. Pozostała ci tylko ta dziura między nogami. Tarantula zmuszał cię do trzymania w pochwie protezy. To było konieczne, jak twierdził, żeby pochwa nie zarosła. Zmuszał cię do tego miesiącami. Miałeś tam jeszcze jeden delikatny punkt, trochę wyżej – łechtaczkę.

Drzwi do twojego pokoju były zamknięte przez cały czas. Przez zamknięte okiennice widziałeś na zewnątrz ogród, staw i łabędzie. Tarantula przychodził do ciebie codziennie na długie godziny. Mówiliście o twoim nowym życiu. O tym, kim się stałeś...

Powróciłeś do gry na pianinie i do malowania. Skoro już miałeś piersi i dziurę między udami, musiałeś dalej brać udział w tej grze. Ucieczka? Powrót do siebie po tylu latach? Do siebie? Czy miejsce, w którym kiedyś żył Vincent, dalej było twoim domem? Co powiedzieliby wszyscy, których tam znałeś? Nie miałeś wyboru. Makijaż, kosmetyki, perfumy... I pewnego dnia Tarantula zabrał cię do Lasku Bulońskiego. Byłeś obojętny, nie mogłeś już doznać większej krzywdy.

Dzisiaj ten mężczyzna śpi obok ciebie. Pewnie mu niewygodnie spać na fotelu. Kiedy odnalazł cię w tej obcej piwnicy, całował cię i tulił w ramionach. Teraz zostawił drzwi otwarte. Czego chce tym razem?

\*

Richard otworzył oczy i poczuł ból w krzyżu. Okropne uczucie po całej nocy czuwania przy Ewie. Posłyszał szelest pościeli - to Ewa obudziła się i przyglądała mu w blasku porannego słońca. Leży w łóżku z szeroko otwartymi oczyma. Richard wstał z fotela, przeciągnął się i usiadł obok niej na łóżku. Zaczął mówić znów tym kretyńskim oficjalnym tonem, zmieniającym się czasami w ordynarne wrzaski wywołane napadami nienawiści.

– Już ci lepiej... Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Możesz odejść. Załatwię ci dokumenty, nową tożsamość. To się da załatwić. Pójdiesz na policję i powiesz...

Nie potrafił skończyć. Był godny pożałowania. Przegrał z kretesem i w upokorzeniu, ale klęska przyszła zbyt późno, by mogła być karą za tyle nienawiści.

Bo jego nienawiść wygasła.

Ewa wstała, wzięła prysznic, ubrała się. Potem zeszła na dół. Richard znalazł ją nad stawem. Przyszedł z kawałkami chleba, które rzucał łabędziom. Kucnęła na brzegu i cichym pogwizdywaniem starała się przywołać ptaki do siebie. Podpłynęły i jadły jej z dłoni, wyginając szyje przy przełykaniu.

Pogoda była wspaniała. Razem usiedli na huśtawce przy basenie. Milczeli długo.

– Richardzie! – odezwała się wreszcie Ewa. – Chcę zobaczyć morze...

Spojrzał na nią niewymownie smutnym wzrokiem i potakująco kiwnął głową. Wrócili do domu. Ewa poszła po torbę podróżniczą, w którą zapakowała trochę swoich rzeczy. Richard czekał na nią w samochodzie.

Ruszyli w drogę. Przez opuszczoną szybę wystawiła rękę i bawiła się podmuchem wiatru. Z uwagi na przyskające kamyki, które mogły ją zranić, poradził

jej, by tego nie robiła.

Jechał szybko, zakręty brał z jakąś furją. Prosiła, żeby zwolnił. Wkrótce pojawiły się przed nimi nadmorskie urwiska.

Na kamienistej plaży w Etretat roilo się od ludzi. Turyści tłoczyli się nad brzegiem wody, korzystając z odpływu. Spacerowali drogą prowadzącą nad urwiskiem, wijącą się wśród skał i znikającą w tunelu, który prowadził na następną plażę, gdzie znosiła się słynna skała Aiguille Creuse, Wydrażona Igła.

Ewa zapytała Richarda, czy czytał powieść Leblanca, tę zwariowaną historię o bandytach mających kryjówkę w pustej w środku kamiennej iglicy wystającej z morza. Nie, nie czytał. Śmiejąc się, odparł z żalem w głosie, że jego zawód nie pozostawia mu dużo czasu na czytanie powieści. Zdziwiła się – przecież wszyscy znają Arsène'a Lupin.

Zawrócili i powolnym spacerem ruszyli w kierunku samochodu. Ewa była głodna. Usiedli na tarasie restauracji, której specjalnością były owoce morza. Dla Ewy przyniesiono tacę z ostrygami i ślimakami. Richard tylko skosztował kawałek kraba przypominającego pająka i cierpliwie poczekał, aż ona skończy jeść.

– Co to za historia z tym gangsterem? – spytała.

Powtórzył jej wszystko jeszcze raz. O tym, jak wrócił do Vèsinet i zastał jej pokój pusty, o otwartej bramie, o strachu, który wtedy odczuł. Wreszcie o tym, jak ją odnalazł.

– A co z tym bandziorem? Pozwoliłeś mu odejść? – pytała z niedowierzaniem.

– Nie, cały czas jest w piwnicy, związany – odparł cicho.

O mało się nie zakrztusiła.

– Musimy tam jechać! Przecież on może umrzeć.

– Skrzywdził ciebie i nie zasługuje na nic lepszego!

Uderzyła pięścią w stół, żeby przywrócić go rzeczywistości. Miała wrażenie, że uczestniczy w jakimś teatrze absurdu. Białe wino w kieliszku, resztki kraba na talerzu i ten niestosowny dialog na temat faceta skutego łańcuchami w piwnicy domu w Vèsinet. Richard obojętnie patrzył gdzieś w dal. Poprosiła, żeby wracali. Zgodził się natychmiast. Pewnie gdyby teraz zażądała, by skoczył z urwiska, posłuchałby jej bez słowa sprzeciwu.

\*

Do posiadłości wrócili późną nocą. Pierwszy do piwnicy zszedł Richard. Otworzył drzwi i zapalił światło. Facet klęczał bezwładnie z rękoma rozkrzyżowanymi szeroko, skrzepowany łańcuchami, które Ewa знаła tak dobrze. Kiedy podniósł głowę, zawyła przeciągle jak zranione zwierzę.

Zwinęła się wpół, z trudem łapała oddech, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wybiegła na korytarz i zwymiotowała. Richard poszedł za nią i podtrzymał jej głowę.

\*

*Tak więc zaczynał się ostatni akt zemsty! Tarantula wymyślił tę historyjkę z gangsterem, rodem z jakiegoś porąbanego romansu, żeby uspić twoją czujność. Zmiękczał cię swoją czułością, ulegał twoim kaprysom. Zabrał nad morze, żeby teraz zepchnąć w bezdenną czeluść przerażenia.*

*A ten podstęp, byś sam odkrył, że Alex też został jego więźniem – jak ty przed czterema laty – miał złamać cię jeszcze bardziej, jeszcze mocniej popchnąć w obłąd. Jeśli jeszcze mocniej było w ogóle możliwe...*

*Tak to zaplanował! Nie miał zamiaru poniżyć cię tylko przez prostytutkę po tym, gdy cię wykastrował, porznął, zdeformował, zniszczył twoje ciało i zrobił nowe jak szmacianej lalce. To była tylko zabawa. Przygrywka do jego zasadniczego projektu – doprowadzić cię do takiego samego obłądę, jaki dotknął jego córkę... Ponieważ wszystkie jego dotychczasowe zabiegi nie doprowadziły do tego, podniósł stawkę!*

*Na każdym etapie zanurzał ci głowę coraz głębiej w czarnych odmętach, czasami wyciągał cię za włosy na powierzchnię, żebyś za wcześniej nie utonął. Wszystko po to, żeby zadać ten ostateczny cios – Alex!*

*Tarantula nie jest szalony. Jest geniuszem. Kto inny wymyśliłby tak naukowo dozowane napięcie? Łajdak! Trzeba go zabić!*

*Z Alexa i tak nic nie wyciągnie. Na pewno nie ma zamiaru poddawać go temu samemu cyklowi tortur. Alex był brutalnym głupcem. Kiedyś bawił cię, bo mogłeś go traktować z lekceważeniem, a i tak poszedłby za tobą jak pies.*

*Tarantula nic nie mógł z nim zrobić. Alex nawet nie pojąłby tych wyrafinowanych tortur. Może zechce, byś ty teraz z nim... Właśnie. Przecież Alex jest skuty i nagi. Tego właśnie chce Tarantula!*

*Nie nasycił się jednym, potrzebował mieć obu na swojej łasce. Cztery lata! Potrzebował czterech lat, żeby odnaleźć Alexa... Alex! Co się z nim działo? Ale przede wszystkim jak on go złapał? Przecież nic mu nigdy nie powiedziałaś!*

*Plama wymiocin zabrudziła beton. Tarantula stał tuż obok ciebie. Podtrzymywał cię. Szeptał czułe słowa - „Moja słodka, moja mała” - wycierał ci chusteczką usta...*

*Drzwi do drugiego pomieszczenia były otwarte. Skoczyłeś nagle do środka i chwyciłeś ze stołu skalpel. Powoli wracałeś do Tarantuli, kierując ostrze na niego.*

### 3

Stali tak twarzą w twarz w betonowym podziemiu oświetlonym jedynie gołą jarzeniówką. Zbliżała się powoli ze skalpelem w ręku. Richard stał nieruchomo. W sąsiednim pomieszczeniu krzyczał Alex. Widział, jak za pierwszym razem Ewa w konwulsjach wybiegła na korytarz, a teraz przez uchylone drzwi patrzył, jak idzie z nożem w ręku.

– Daj mi rewolwer, mała! – wrzeszczał. – Mój rewolwer! Chodź! Zostawił go tutaj!

Ewa weszła i podniosła rewolwer z kanapy. Richard nawet nie drgnął. Stał wyprostowany w korytarzu, ale nie cofnął się na widok wycelowanej w siebie broni. Powiedział tylko coś, co wydało się absolutnie nieprawdopodobne:

– Ewo, błagam cię, wyjaśnij mi...

Zatrzymała się, jakby wrosła w ziemię. To musi być kolejna sztuczka Tarantuli. Ale tym razem łajdak już się nie wywinie.

– Nie martw się, Alex! – krzyknęła. – Już mamy tego śmiecia!

Alex również nic nie rozumiał. Skąd znała jego imię? Może Lafargue jej powiedział? No tak! To oczywiste! Lafargue trzymał ją pod kluczem, a teraz ona wykorzystuje okazję, żeby się pozbyć męża.

Richard osunął się na posadzkę i siedział bezwładnie oparty o ścianę.

– Ewo! Zabij mnie, jeśli chcesz, ale przedtem powiedz, o co tu chodzi?

– Jaja sobie robisz?! Jaja sobie robisz ze mnie?!

Zaczęła cichym szeptem, po chwili powtórzyła to z wrzaskiem. Mięśnie na jej szyi nabrzmiały, trzęsła się i rozglądała wokół wytrzeszczonymi oczyma.

– Ewo! Błagam cię! Wyjaśnij mi...

– Alex! Alex Barny! Był tam ze mną! On również zgwałcił Viviane. Wsadził jej nawet od tyłu, kiedy... kiedy ja ją trzymałem. Zawsze wierzyłeś, że byłem sam. Nigdy ci nic nie powiedziałem, bo nie chciałem, żebyś go ścigał. Twoja córka oszalała tak samo przez niego, jak i przeze mnie. Ty skurwysynu! A to ja za wszystko dostałem w dupę!

Alex słyszał wszystko, co ta kobieta mówiła. Co ona wygaduje? We dwoje robią ze mnie idiotę. Chcą, żebym ześwirował...

Potem przyjrzał się uważnie żonie Lafargue'a, jej ustom, oczom...

– Co?! Nie wiedziałeś, że było nas dwóch? - mówiła dalej Ewa. – Ależ tak.



Alex był moim kumplem! Biedaczek nigdy nie miał wielu dziewczyn, musiałem mu je naganiać. Z twoją smarkulą było ciężko, bo nie chciała o niczym słyszeć. Sprawiało jej przyjemność, kiedy ją obmacywałem i całowałem, ale kiedy tylko wsadzałem rękę pod spódnicę, to koniec! No to trzeba było ją trochę przywołać do porządku.

Richard kiwał głową z niedowierzaniem. W uszach świdrował mu nieznośnie jej wysoki głos.

– Ja pierwszy ją miałem! Alex ją trzymał, bo się wyrywała... Wy w restauracji obżeraliście się wtedy i tańczyliście, prawda? Potem ustąpiłem miejsca Alexowi. Też się niezłe zabawił. Ona jęczała, bo ją bolało... Ale na pewno cierpiała mniej niż ja po tym wszystkim, co mi zrobiłeś. Zabiję cię, Tarantulo! Zabiję cię!

\*

*No tak! Tarantula o niczym nie wiedział. Niczego mu nie powiedziałeś. Kiedy wyznał, że okaleczył cię za gwałt, po którym Viviane oszalała, postanowiłeś siedzieć cicho. Ochrona Alexa była jedyną szansą, by kiedyś dokonać zemsty. Tarantula nigdy się nie dowiedział, że było was dwóch.*

*Leżałeś już na stole operacyjnym, a on opowiadał ci o tym lipcowym wieczorze sprzed dwóch lat. To była sobota. Włączyłeś się z Alexem po mieście, obaj nie mieliście nic do roboty. Właśnie zaczęły się wakacje. Zamierzałeś wyjechać do Anglii, a Alex miał ojcu pomagać w pracach polowych.*

*Łaziliście od kawiarni do kawiarni, grając na flipperach. Wreszcie wsiedliście na motor. Było ciepło. W Dinancourt, sąsiednim mieście leżącym tylko trzydzieści kilometrów dalej, organizowano jarmark z zabawą. Alex zabawiał się strzelaniem z wiatrówki do balonów, a ty gapiełeś się na dziewczyny. Było ich mnóstwo. Pod sam wieczór wpadała ci w oko jedna smarkula. Piękna. Szła pod rękę z jakimś staruchem. Może ojcem. Ubrana była w błękitną sukienkę. Jasne włosy upięła do tyłu, na jej dziecięcej jeszcze twarzy nie było śladu makijażu. Spacerowali i od razu można było poznać, że to nie są wieśniacy.*

*Rozsiedli się na tarasie miejscowej oberży. Córka poszła sama dalej. Grzecznie – jak zwykle – ją zaczepiłeś. Miała na imię Viviane. A ten facet o siwych włosach był rzeczywiście jej ojcem.*

*Wieczorem na rynku miała się zacząć zabawa. Zapytałeś ją, czy pójdzie z tobą. Z chęcią, ale co powie ojciec? Przyjechali tu na wesele. Oberża mieściła się w starym zamku, trochę na uboczu od głównych zabudowań i często organizowano w niej przyjęcia w parku na świeżym powietrzu. Dziewczyna musiała najpierw pójść na wesele. Udało ci się ją przekonać, żeby przyszła wieczorem pod budkę z frytkami. Była jeszcze głupiutkim dzieciakiem, ale jakże pięknym.*

*Czekając na nią, kilka razy przechodziłeś w okolicach zamku. Ci bogacze ściągnęli prawdziwą orkiestrę. Nie zwyczajnych wieśniaków z akordeonami, ale prawdziwych muzyków w białych smokingach, którzy grali jazz. Okna oberży były pozamykane, żeby uchronić bogaczy przed chamskimi dźwiękami wiejskiej zabawy*

przy dudach.

Około dziesiątej wieczorem Viviane wreszcie przyszła. Zapytałeś, czego się napije. Wzięła colę, a ty whisky. Tańczyliście, a Alex wam się przyglądał. Puściłeś do niego oko. Wreszcie, kiedy orkiestra zaczęła jakiś wolny taniec, pocałowałeś ją. Czuleś, jak jej serce przytulone do twojej piersi zaczyna bić jak szalone. Nie umiała się całować. Mocno zaciskała wargi. Kiedy wyjaśniłeś jej, jak to robić, zaczęła z zapalem pracować językiem. Jak głupia! Ładnie pachniała, dyskretnie, słodkimi perfumami, w przeciwieństwie do miejscowych dziewczyn, które oblewały się litrami taniej wody kolońskiej. Tańczyliście i pieściłeś jej nagie plecy, bo sukienkę miała mocno wyciętą z tyłu.

Potem spacerowaliście po ulicach. W jakiejś bramie znów ją pocałowałeś. Tym razem było trochę lepiej. Szybko się uczyła. Wsadziłeś rękę pod jej sukienkę, gładziłeś jej udo, sięgnąłeś aż do majtek. Była podniecona, ale ci się wyrywała. Bała się, że ojciec na nią nakrzyczy, jeśli zniknie na dłużej. Nie nalegałeś. Wróciliście na rynek. Jej ojciec już wyszedł z oberży i zaczął szukać córki. Zauważył was, ale odwróciłeś głowę w bok.

Z daleka obserwowałeś, jak się kłócili. Wyglądał na zdenerwowanego, ale potem roześmiał się i wrócił do oberży. Viviane podeszła do ciebie. Ojciec pozwolił jej zostać jeszcze trochę.

Znowu tańczyliście. Przytulała się do ciebie. Pieściłeś jej piersi. Po godzinie chciała już wracać do ojca. Dałeś znak Alexowi, który siedział niedaleko przy barze z puszką piwa w ręku. Powiedziałeś Viviane, że ją odprowadzisz. Szliście w stronę zamku, trzymając się za ręce. Śmiejąc się, zaciągnąłeś ją w krzaki w głębi parku. Ona opierała się trochę, ale też się śmiała. Miała straszną ochotę jeszcze zostać z tobą.

Oparłeś ją o pień drzewa. Tym razem pocałowała cię całkiem dobrze. Pozwoliła ci włożyć rękę pod sukienkę... tylko troszeczkę. Nagle ręką zatkałeś dziewczynie usta i ściągnąłeś majtki. Alex był tuż obok was. Złapał ją za rękę i rzucił na trawę. Ukląkłś między jej nogami. Alex przyglądał się, jak ją gwałcisz.

Potem ty trzymałeś Viviane. Była na czworakach, Alex sadowił się z tyłu. Nie zadowoliliś się tym co ty. Chciał czegoś więcej. Wszedł w nią, sprawiając taki ból, że zaczęła się desperacko wyrywać. Udało jej się wyswobodzić. Wyla z przerażenia i z bólu. Dogoniłeś ją, złapałeś za nogę, unieruchomiłeś. Chciałeś ją spoliczkować, ale miałeś zaciśniętą pięść. I walnąłeś ją pięścią prosto w twarz. Uderzyła tyłem głowy w pień drzewa. Straciła przytomność, dostała drgawek.

Tarantula powiedział ci później, że kiedy usłyszał jej krzyk, orkiestra grała „The Man I Love”. Wybiegł do parku. Zobaczył, że klęczysz koło niej, usiłując złapać za kostkę podskakującej nogi, starałeś się ją uciszyć.

Alex uciekł, schował się głęboko w krzakach. Viviane cały czas krzyczała. Musiałeś się zmywać. Uciekałeś prosto przed siebie, ale ten facet cię gonił. Był po dobrym obżarstwie, więc szybko go zgubiłeś. Alex czekał na ciebie przy motorze, po drugiej stronie miasta.

Przez następne dni byłeś mocno przerażony. Ten stary widział twoją twarz, na szczęście niezbyt dobrze... Nie zawiadomił policji. Chciał cię dopaść sam. Metodycznie przeczesywał okolicę, stopniowo poszerzając obszar poszukiwań. Szukał

*cię przy wyjściach z fabryk i ze szkół.*

*Trzy miesiące później zauważył cię w kawiarni naprzeciwko liceum w Meaux. Szedł za tobą, śledził cię, poznawał twoje przyzwyczajenia aż do tamtego wrześnieowego wieczoru, kiedy dopadł cię w lesie.*

*Ale nie miał pojęcia o Aleksie. Nie mógł wiedzieć.*

*I właśnie dlatego siedzi teraz przed tobą, przegrany i całkowicie zdany na twoją łaskę...*

\*

Richard był oszołomiony. Ewa klęczała z wymierzonym w niego rewolwerem. Trzymała broń prosto przed sobą, palcem naciskała spust.

– Zabiję cię! – powtarzała jak modlitwę. – Zabiję!

– Ewa! Nie wiedziałem... to niesprawiedliwe!

Była wstrząśnięta tymi niestosownymi objawami wyrzutów sumienia, na moment rozluźniła dłoń. Czekał na tę chwilę. Kopnął ją w przedramię tak mocno, że krzyknęła i wypuściła broń z ręki. Skończył, złapał rewolwer i wpadł do pomieszczenia, gdzie był uwięziony porywacz. Strzelił dwa razy. Alex zwisał bezwładnie, trafiony w szyję i w serce.

Richard wrócił na korytarz, pomógł Ewie wstać. Potem sam ukląkł i podał jej broń.

Wyprostowała się i głęboko westchnęła. Stojąc na rozsuniętych nogach, zbliżyła lufę do jego skroni. Patrzył na nią obojętnie. Jego oczy nie wyrażały niczego. Nie prosił o litość. Jakby znów pragnął stać się Tarantulą o zimnym i nieprzeniknionym spojrzeniu.

Pamiętała chwilę, gdy stał się słaby i bezbronny. Upuściła broń na podłogę.

Wyszła z piwnicy i pobiegła do ogrodu. Zdyszana zatrzymała się dopiero przed bramą wjazdową. Było pięknie. W wodzie basenu odbijały się gwiazdy.

Wróciła do domu i poszła do siebie na piętro. Usiadła na łóżku. Sztalugi były przykryte płótnem. Zdjęła je i długo wpatrywała się w okropny wizerunek Richarda przebranego za transwestytę, z pomarszczoną pijacką twarzą, zrobionego na starą męską prostytutkę.

Wolnym krokiem zeszła do piwnicy. Ciało Alexa zwisało na łańcuchach. Pod nim zebrała się wielka kałuża krwi. Ewa podniosła jego głowę i przez długą chwilę wpatrywała się w nieruchome oczy.

Wyszła z tego więzienia.

Richard nadal siedział na betonie, ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała, nogi miał wyciągnięte przed siebie. Lekki tik poruszał jego górną wargę. Usiadła obok, wzięła go za rękę, oparła głowę na jego ramieniu i ochryplym głosem powiedziała cicho:

– Chodź... nie można tu trzymać trupa...